



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POSTANOWIENIE.

W wychodzącej w m. Warszawie w języku polskim gazecie „Dziennik dla wszystkich” pod redakcją Henryka Perzyńskiego, zamieszczony został w N. 282-im z d. 5 (17) grudnia r. b. artykuł p. t. „Zajście.” W artykule tym zamieszczono, iż d. 4 (16) grudnia w godzinach popołudniowych, przy przejściu przez ulicę Muranowską roznosiela opłatków z koszykiem, w którym się też opłatki znajdowały, a który pokryty był serwetką z wyszytym na niej srebrnym krzyżem, żydzi ciągle spluwali, a gdy w skutek tego roznosić zaczął kilku z nich moralną nauczkę, kilkunastu żydów tłumnie rzuciło się na niego i pobiło go sromotnie, przyczem koszyk z opłatkami rozdeptany został przez napadających. Na krzyk pobitego nadbiegła policja, która odprowadziła główniejszych awanturników do cyrkułu. Z otrzymanego przezemnie raportu warszawskiego oberpolicmajstra z d. 8-go b. m. okazuje się, iż opisany wypadek nie wydarzył się w żadnej miejscowości m. Warszawy. Z powodu tego biorąc pod uwagę, iż wspomniana wiadomość, opisująca czelny napad żydów na chrześcijanina i podeptanie przez nich przedmiotów religijnych, może bez potrzeby drażnić uczucie religijne miejscowych chrześcijan i rozbudzać w nich nienawiść do żydów, żądając od władzy, redaktora gazety „Dziennik dla wszystkich,” za umieszczenie wyżej wymienionej fałszywej wiadomości, skazać na karę pieniężną w sumie rs. 1,000, w razie zaś niemożności zapłacenia takowej, na trzy

miesiące aresztu i zakomunikować o tém dla bezwłocznego wykonania warszawskiemu oberpolicmajstrowi.

Warszawa, d. 8-go grudnia r. 1887-go.

Na oryginalne podpisano Warszawski Jenerał-Gubernator Jenerał-Adjutant
HURKO.

Dyrektor kancelaryi *Kornilow.*

Zgodnie z oryginałem starszy referent *Szyrajew.*

Rok ubiegły.

Każdy rok ubiegły—to kawał życia, zostawionego w tyle, i człowiek, jak podróżny, który siedł długo pod górę, czy z góry, przystawał mimowoli, aby się obejrzeć po za siebie. I nam należy tak czynić. „Mogła już nas nie odda jak kolebka” i każde jutro innem jest, jak było wczoraj—tego, czegośmy nie uczuli, nie przemyśleli, zrobić nie zdołali w danej chwili, już nie będziemy czuć, myśleć, czynić, bo musi to już być czemś innem, nowem. Czas, to najkosztowniejszy materiał, posiadany przez człowieka, bo czas to życie i czyż nie trzeba nam niekiedy spojrzeć na tę jego część, która uszła w przeszłość?

W zgodzie nie tylko z sumieniem, ale i z sercem własnem może być wtedy tylko ten, kto czuje że nie dał mu niedbale płynąć—w nicosć! Życie z dnia na dzień, bez planu, bez zamiaru, bez pracy i nadziei, z jakimś pragnieniem serca związanej—to życie w nicości topione. Ludzie próżnujący wytworzyli w języku wyrażenie: zabijać czas... lecz mało kto pomyśli, że znaczy to zabijać życie swoje. Okrutne samobójstwo!.. zbrodnia popełniona na duchu własnym, lecz najczęściej ci, co to czynią, nie świadomi są tego, co czynią!...

Są przecież chwile, przychodzące prawie na każdą istotę ludzką, w których człowiek pyta się siebie: — Com ja robił z życiem, po com ja żył?... Prawda odzywa się wtedy niemal zawsze. Ta sprawiedliwość, której ziarenko leży na dnie każdego sumienia ludzkiego sprawia, że nie mówi się kłamstwa duszy swojej. Ten kto nie może odpowiedzieć sobie nic o obowiązku spełnionem, o dobru dokonanem, o jakimkolwiek choć dążeniu do uiego, uczuwa wtedy wstyd, zgryzość. Odpędza się to sofizmatami, odgradza się od tego zapomnieniem, ale niemniej uczucie winy wypala w sercu znak—bliznę, która boli zawsze, ilekroć jej dotkniemy.

Nie zawsze odnosi się to do stosunku naszego z ludźmi. Często, bardzo często jest to sprawa nasza z własnym duchem, z własną naszą istotą. Cośmy dali jej uczuć, jak się rozwinąć, jak użyć sił, które w nas są? to pytanie na duchowym naszym forum przeciw nam samym wznoszone.—Gorzkim, okrutnym jest nasz żal, do samego siebie uczuwany—gorzkim, okrutnym jest nasz żal nad samym sobą, gdy wtedy odzywa w nas uczucie zmarnowanego życia. Zagłuszamy się, aby nie słyszeć, słyszymy przecież jęk własnego naszego serca nad sobą, a serce to opowiada wtedy, opowiada nam, że gdyby tylko trochę pracy, energii—jedna rozniecona iskra gorętszego uczucia, uczciwego zapалу dla dobra, które uznajemy, a dokonaliśmy rzeczy pięknych, pocziwych, zżylibyśmy rozumnie, może górnio, wspaniale, jak ci których czcimy—jak ci którzy zowią się szlachetnymi ludźmi, dobrymi obywatelami kraju.

A każde życie posiada przecież kółko, w którym może to pełnić: swoją skalę myśli i uczucia, swoje miejsce na ofiarę, poświęcenie, pracę dla ogólnego dobra—swoją szczybel na tej Jakubowej drabinie duchów, u której końca, opartego o ziemię, spotykamy się z anielskością uskrzydloną. Tego końca uchwycić się może każdy—każdy może dostać się tam na wysokość, na jaką

tchu mu stanie i kto wie czy przed Bogiem jest jaka różnica zasługi pomiędzy tymi, którzy już tam są? Dobro kochać, dobra pragnąć, dla dobra pracować—to już uświęcenie i kto zrobił, co mógł: jeden choć atom dobra pracowicie dla ludzkości wytworzył, równym jest w godności duchowej najwyższym potentatom cnoty. Jestto ten szeląg ewangeliczny, za który Chrystus błogosławił składając go niewiastę, i postawił wyżej nad innych, niby więcej dających. Dała wszystko, co posiadała i któż po nad to uczynić już coś może?

Na rzeczy wielkie trzeba czekać długo i jest niebezpieczeństwem zamiary działania swego do nich odkładać. Bywa w tem nieraz zaczajona duma, bywa skryte lenistwo i można tak w oczekiwaniu całe życie beczynnie zmarnować. Kto się choć małej pracy ima, nietylko już sobie jakiś dorobek zasługi skarbi, ale jest w porządku z duszą swoją i ma sumienie czyste. Z małej pracy wszystkich powstaje wielka, wiekopomna praca powszechności, bo cząsteczki drobne grawitują do siebie, łączą się i rosną w całość, jak góra z ziarenek piasku powstała. Cudowny wiatr znosi do gromady pojedyncze odrobinki uczciwej pracy dla wielkiej idei, dla wielkiego dzieła łóżonej, i nie ginie nigdy żadne usiłowanie do celu dobra dążące. Trzeba też każdemu przyjąć na moralną swą własność filozofią starego francuzkiego nakazu:— *Fais que dois, advienn que pourrai*. Rycerze nosili na tarczach to godło i było ono wartości wysokiej, bo jakież hasło może wiedź lepiej zastępy ludzkie? Jest w niem, w mądrości, która z niego powstaje, nietylko zdanie się na łaskę bożą, na los—zawiera się tu w głębi i rozumna wiara w siłę zbiorową, w bogactwo drobnych wkładek, do jednego skarbu znoszonych.

Jest w tem i niezwykłość, jest wiekiistość idei. Jeden wielki człowiek ginie, jeden wielki człowiek się przeżywa, a mnóstwo trwa, bo odradza się bezustannie, i to, co się na barkach mnóstwa opiera, nie pada nigdy o ziemię, a upadłe nawet dźwiga się znów do góry. Gdyby ważność drobnej pracy zrozumiana była, świat odmieniłby oblicze swoje.

I nie byłoby ludzi smutnych dla tego, że wykojeniu—ludzi trapienych przez tęsknotę i pustkę serca. Każdy miałby do czego ręce wyciągnąć, i w obrachunku z przeszłością nie trzeba-by mu stawiać zera, a w życie, które nadchodzi, nie patrzyłby jak w coś mglisto niepewnego. Ubezpieczyłby je od najcięższej klęski przeciw naturze—od istnienia w nicości, od niebytu!..

I z ubiegłym rokiem tak też obliczać się należy. Kto w obowiązku wytrwał, kto powinność swą odrobił, choć coś dobra światu przysporzył, promyczek jakiś światła rozpałił i odrobinę ciepła między braci ludzi wniósł—dla tego co jest szlachetnej ludzkości świętym i drogim celem choćby w najpokorniejszym trudzie, na maluchnem, od wielkich traktów życia odległym polu pracował—ten niech sobie nie mówi, że czas tracił, że istnienie swe marnował!

Marnuje się tylko życie beczynne i na małości rozsnuć; życie obracające się w kole próżności i świecącego blichtru, które nie pracuje z żadną myślą wyższą, nie wiąże się z żadną obietnicą bożą węzłem wiary i miłości—żadnego świętego ideału przed siebie nie ciska i w egoizmie zamknięte, od jednostki własnej nigdy oderwać się nie umie. Czasem egoizm taki rozszerza się do rodziny, żyje w dzieciach, chce się przedłużyć w rodzie, ale jeżeli będzie to zawsze ten sam cel samolubny, bo do siebie zwrócony i od siebie początek biorący, nie podniesie go żadna praca, nie uświęci znój najgorętszy, żadna ofiara nie stanie mu się ani zasługą, ani cnotą.

Jest nią miłość rodzicielska, ale wtedy gdy rodzice kochają w dziecku swoim człowieka, a matki mówią, jak Ewa, że otrzymały go od Boga i widzą w tej drogiej im istocie, depozyt powierzony sobie, który mają oddać społeczeństwu, ludzkości. Wtedy przy macierzyńskich trudach, przy ojcowskich ofiarach kładzie się wielki znak i zasługi i cnoty—wtedy jak lud rzymski przed matką Grachów, ludzie powinni wstawać i odkrywać głowy przed rodzicami takimi, bo te

dzieci, które dziś rosną, to pokolenie przyszłości, które po nas stanie u pługa pracy, aby orać dalej swój zagon.

Takie istnienie w rodzinie, choćby musiało być najzupełniej w niej zamknięte i do niej ograniczone, nie jest, nie będzie nigdy życia marnowaniem, jak nie marnuje się ziarno, które rolnik w ziemię sypie. Ruń zielona uraduje wiosną jego oczy, a latem kłosa dojrzeją na chleb ludziom dobrej woli. To też każdy, kto przy obrachunku z rokiem ubiegłym znajdzie po za sobą pracę taką, niech spokojnie i z uczuciem spełnionego obowiązku wzrok ku niebu podniesie, a wyciągając czystą swą rękę do ludzi, także czystych serc i rąk, zawoła z poetą:

„Życzmy my sobie nawzajem
Szczęśliwych lat!
Niech myśl w nas będzie swobodna.
Bo Bogu w opiekę zdajem
Przyszłości kwiat...”

M. Ilnicka.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dokończenie).

Na chrzcinach Tota, którego baronowa z hr. Potorskim *per procura* do chrztu w pierwszej parze trzymała, postanowiono przy kolacji z szampanem w ścisłym kółku rodzinnym porzucić sztywny tytuł „pana” i „pani.” Odtąd Romuald baronową krótko Henryetą, a Jerzbię Magdzą za zgodą mężów nazywał.

Jerzbięka pozwalała mu się nawet niekiedy całować w policzek w obecności swego Józia i siostry.

— Szczęście wasze, że nie widziałem — wołał w takich razach Jerzbięka z udaną grozą — bo inaczej biada wam obojgu!..

I wygrażał komicznie pięścią, przewracając oczy biatkami do góry i zgrzytając zębami, przy czem przybierał minę tak zabawną, że rozśmieszał wszystkich do rozpuku.

Cudowna harmonia ustalała się w rodzinnym kółku państwa Fiszbaumów i trójcy małżeńskich stadeł, zbliżanych coraz bardziej do wspólnego poziomu. Wybierano się razem na spacer, wycieczki, koncerty, do teatru, układano wspólnie plany zabaw, rautów, obiadów.

Krulle wymógł nawet na Romualdzie, aby sobie sprowadził jednakowy z nim garnitur wiosenny od stałego krawca w Wiedniu, który zaopatrywał garderobę barona w najświeższe nowości sezonowe według pozostawionej miary.

Pan Sylweryusz był w siódmym niebie; błogosławił chwile, w której tak energicznie, a raczej tak despotycznie zdecydował o małżeństwie swojego jedynaka.

— Widzisz mój drogi, papa miał rację! — powtarzał mu z ojcowskim samochwalstwem — źle ci teraz?... mówiłem zawsze, że mój rozum znajduje sposób wydobyć nas obu z tarapatów.

Humor miał teraz ciągle wyborny, jakaś młodzięca rzeźkość wróciła mu przy siwych włosach; zauważono nawet, że zaczął sobie z lekką kokieterią czernić wąsy i kneblik, co nadawało jego twarzy oryginalny wyraz mieszanej sztucznej młodości z sędziwą siwizną na skroniach.

Z Krullem był oddawna w zażyłej przyjaźni; wytraczone i wyelegantowane chodził z nim na każdy balet i operę do teatru, zajmując stale krzesło w pierwszym rzędzie i otoczony zawsze złotą młodzieżą prawil jej w antraktach dowcipne anegdotki i powtarzał damom znajomym po łóżach zebrane w ciągu dnia ploteczki.

Na balu kostiumowym wystąpił w stroju mu-

szkietera i naigrawał się żartobliwie z Romualda, że jest starszym od niego, bo nie chciał przywdziać kostumu i pozować w obrazie, jako „Zygmunt August” w otoczeniu swojego dworu.

W pierwszej chwili papa Fiszbaum odgrażał się:

— Wiesz Muldziu, jak ty nie będziesz tym Zygmunt, to cię zawstydzę i ja każe się na niego zrobić!

Musiano mu wytłómaczyć, że Zygmunt August był znacznie młodszym i nosił brodę, a nie faworyty.

— Kto na to będzie zważał, byle kostium był historyczny! — mówił z dobrą wiarą, ale dowiedziawszy się, że musiałby wystąpić w trykotach, stracił ochotę do pozowania w obrazie i obrócił w żart swoją propozycję.

— No, mój drogi, jakże ci idzie dzisiaj? — pytał zięcia, stając teraz za jego krzesłem; — z dyrektorem grasz?... to niebezpieczna sprawa, dyrektor zawsze wygrywa.

— No, dzisiaj się na to nie zanosz — wtracił zagadnięty — pan Lacki nie musi mieć szczęścia w miłości, bo ma szczęście w kartach. Króle, damy i walety leżą mu w rękę raz poraż, jak na jaki bal dworski, a ja muszę się z młodzieżą borykać. Żeby nie taki taki asik — dodał, przybijając właśnie asem króla — to padałbym na cztery nogi, jak niedźwiedź w tańcu.

— Reszta nasza! — przerwał mu tryumfująco Romuald, wyrzucając na stół wszystkie karty — położyliśmy znówu dyrektora!

— A to skaranie Boże! — zawołał pobity — w kartach taka sama baissa, jak na giełdzie nas debankuje. Nic się nie wie, *rien ne va plus!* oprócz playty — dodał ciszej ze śmiechem, nachylając się do sąsiadów.

Fiszbaum klepał zięcia po ramieniu z najwyższym zadowoleniem i mówił:

— Dzielnieś się spisał! jestem z ciebie kontent mój kochany. Ktoby powiedział, że on w zeszłym roku pierwszy raz dopiero w życiu wziął karty do ręki; to prawdziwy talent, co?..

— Zmarnowałeś pan zatem co najmniej dziesięć lat życia, nie korzystając wcześniej z tego talentu — zauważył silący się na ciągle dowcipy pan dyrektor, aby utrzymać opinię jednego znanych ciętych finansistów.

Romuald wstał od stolika, robiąc miejsce teściowi i przeszedł do sali; chciał zobaczyć, jak się bawi Ludwika, którą otaczał bezustannie rój tancerzy i porywał kolejno w wir walca; stanął w tych samych drzwiach, z których niegdyś przypatrywał się grającej pani Zofii w tym samym salonie, na tym samym fortepianie, przy którym dzisiaj siedział najęty grajek i spocony ze znużenia spełniał obowiązek karnawałowego Orfeusza.

Tyle rzeczy zmieniło się od tego czasu, tyle niespodzianek złożyło się na życie, tyle kwestii los rozwijał wbrew wszelkim obliczeniom... Ale Romuald nie myślał w tej chwili o przeszłości, patrzył na uroczy wieniec pań i panien, jaśniejących wdziękami i urodą, rozgrzanych tańcem i rozmową, słuchał zmieszanego chaosu głosów, oddechów przyspieszonych, śmiechów, szelestu jedwabów, atlasów, koronkowych wachlarzy i dźwięków muzyki, oddychał ciepłą pachnącą atmosferą salonu, w której upajające wonie pachnideł i kwiatów rozwiewały kobiety przy każdym poruszeniu, podziwiał malowniczą pstrocinę kostumów, migających w tanecznym wirze i ścigał oczyma białe, okrągłe, pulchne ramiona swej żony, zawieszonych z jakimś rozkosznym upojeniem na ramieniu przystojnego bruneta w czerwonym fraku, walczącego w szalonym tempie z podziwu godną zręcznością po sali.

Patrzył i uśmiechał się zlekka, jakby bezmyślnie; twarz jego straciła ów dawny wyraz poważnej zadumy i odcienia smutku, który cechował ongi jego spojrzenie.

Miał teraz minę człowieka zadowolonego...

Nagle uczuł czyjeś dotknięcie poufale na sobie i jednocześnie znajomy jakiś głos zabrzmiął mu nad uchem:

— Wiesz ty mój chłopcze, że tobie brzuszec rosnąć zaczyna!..

Odwrócił się i obok ujrzał Słuckiego, z pomię-

tym w tańcu gorsem i spotniała twarz; krawat mu się podpinał do góry, białą rękawiczkę miał pękniętą przez połowę na prawej ręce, rozbawiony się zdawał i podniecony zarówno tańcem, jak winem, którego sobie dla animuszu nie żałował.

Entuzjasta oddawał się wszystkiemu z tym zbytkiem zapалу, który był wadą i zaletą jego charakteru.

Z dawnego otoczenia Romualda, jeden Słucki najczęściej jeszcze przestawał z nim i przychodził na zaproszenia Fiszbauma: „dla kolacy i dobrego wina,” jak mówił z udanym cynizmem, — bo cóż innego robić u tych Nababów, jeżeli nie jeść, pić i wyhasać się z ładnemi Madyanitkami!..

Nie ukrywał tego bynajmniej, a ta szczerość nadawała mu odcień rubasznej oryginalności w kółkach, które się około niego tworzyły, gdy język rozpuścił.

Bankiera traktował bez wszelkiej uwagi dla jego milionów i tytułów.

— Jak się pan miewa, panie Fiszbaum? — mawiał do niego zawsze przy powitaniu tonem konfidencyjnym, który raził trochę gospodarza, ale który udawał, że nie czuje się nim dotkniętym i poczytując to za właściwość szlacheckiej zamaszystości, przez wzgląd na Romualda, przyjmował nie bardzo miłego gościa na swym salonie, wynalazłszy sobie nawet specjalną formę poufności ze Słuckim w zapytaniach:

— Jak się macie, co tam u was słychać?... napijcie się kieliszek wina?..

Zdawało mu się, że tem „wy“ równoważy niejako mimowolny odcień lekceważenia w tonie Słuckiego; w głębi duszy zaś bał się trochę jego języka i pióra.

— Na seryjo chłopaczku, ty się zaokrąglasz coraz bardziej, — mówił ze śmiechem teraz Słucki dalej do Romualda, nie zważając, że mają bliskich słuchaczy. — Co to znaczy dobra kuchnia, mój Boże!... My piskorze łączyskie wszyscy tacy chudeusze jesteśmy, chociaż gdybyś zobaczył kiedy moich antenatów na naszych portretach familijnych w Słuckowie, to panie jeden w drugiego, jak baryła w tych czerwonych deljach i kołpakach. Wszystko to ci karczaste, brzuchate, wypasione, ale też mieli apetyt! — zjedli całą fortunę tak, że prawnukom nic nie zostało. Niema dziś z czego utyc na własnym chlebie... Tobie, to się udało!.. teraz ci pieczone gołąbki leżą do gąbki, aleś przynajmniej wart tego, boś dobry chłop, tylko bój się Boga — nie tyj, nie tyj, bo zatoniesz w sadle, jak te wszystkie filistry, pomiędzy których wlałeś!.. Daj pyska, lubię cię; — ty wiesz, ja ci nigdy nie zapomnę tych trzystu rubli, któreś mi wtenczas pożyczyl na słowo, z dobrej woli, pamiętasz?.. dobry chłop z ciebie i basta, niech tam sobie mówią, co chcą...

Mówił to nieco podniesionym głosem, wspinając się do ucha Romualda, aby był lepiej słyszany wśród gwaru.

Romuald udawał, że się uśmiecha pobłażliwie na ten zbytek szczerości w wynurzeniach przyjaciela.

— Zdaje mi się, żeś ty trochę cięty, — rzekł do niego, odciągając go zlekka z salonu.

— A może być, nie zapieram się; twój teść ma dobre wina i traktuje, jakby się szlachcicem urodził, nie jednym z naszych...

Parsknął sam śmiechem, spostrzegłszy się, co powiedział.

— No, ale ty się nie gniewasz?.. co?.. mój Romku, przecież mnie znasz; co w sercu, to na języku!.. Ja tam ozora mego nie utrzymam, — jak mam prawdę powiedzieć, to się i dyabła nie zlekne. Ty myślisz, że ja Rotowiczowi nie nagadałem za ciebie?.. nagadałem im wszystkim, chociaż wiesz co? — nie gniewaj się, jak cię Kocham, oni mają trochę racji; ty nie postąpiłeś z nami tak, jak należało, — o nie! ja się po tobie czegoś więcej spodziewałem. W tobie był materyał na niepospolitego człowieka. Poczekaj...

Szczerość Słuckiego stawiała się dotkliwą.

Na szczęście rozłączył ich lokaj, niosący pełne kieliszki na tacy. Słucki zatrzymał go rozkazując:

— Fagas, tu!.. pokaż no tę małmazę; co tu

masz?.. szampańskie?.. schowaj się ze swoim szampańskim. Węgierskiego nie masz?.. węgierskiego mi daj, rozumiesz!.. przedaj. Wypijemy po kieliszku, dobrze? — zwrócił się do Romualda, biorąc go znowu pod ramię — musisz ze mną wypić, nie codziennie kostiumowy bal u twego teścia, a widzisz: *in vino veritas*, o!.. ja ci powiem po starej przyjaźni prawdę, bo któż ci powie, jeżeli nie ja.

Tracili się kieliszkami i stanęli pod oknem na uboczu.

— Dobre wino! — mówił Słucki, smakując — już to nigdzie tak pić nie dają, jak u tych milionerów; ale mają też za co dawać. Ja u mojego pana brata, wypiję ci prostej lurki za rubla i dobrze, ale jak przychodzę do takiego fili tra, jak twój teść — no, nie gniewaj się! — to powinien mi postawić Alicantu, Lacrima Christi, Falerna i jakie tam ma specjały... choćby rajskiego wina!.. Nic się nie gniewaj, — *in vino veritas*! On ciebie powinien codziennie kapać w szampanie. W tobie był materyał!.. Co, nie robi tego?.. nie robi?.. Fagas, tu!..

Skinął znowu na lokaja, który go obrzucił wyniosłem spojrzeniem, nie przyzwyczajony do takiego traktowania, ale podszedł odebrać kieliszek z rąk opryskliwego gościa.

— Możebyś ty się przeszedł trochę po sali bilardowej?.. tam więcej powietrza — spytał Romuald, szukając sposobu pozbycia się natrętnego przyjaciela.

— Dobrze, ale z tobą; pójdz ze mną, ja ci mam dużo jeszcze do powiedzenia!.. ho, ho!.. kto ci powie?.. z tych tutaj nikt ci nie powie prawdy, bo to same filistry. Kiedy wleżesz między wrony, musisz krakać, jak i one. Tu najporządniejszy człowiek musi przesiąknąć tą filisterską atmosferą i stracić węch. Zleniwieje, ocieżeje, skisnie, zatyje, — brzuch pod sam nos, a poza końcem nosa nie, prawda?.. no, powiedz sam, nie mam racji?.. Chcesz, ja im to głośno powiem, a co mi to szkodzi!.. ale co to pomoże?.. Filisterstwo jest, jak rak, nieuleczalne.

Nachylił się do ucha Romualda i mówił z coraz większym przejęciem:

— Filisterstwo, to jest stłuszczenie ciała i ducha!.. ducha zatycie — rozumiesz?.. od tego się tak samo zamiera, jak od cukrowej choroby, z przepasienia... Im chodzi tylko o napchanie brzucha i kieszeni, słyszysz?.. brzuch i kieszeń, to dwie świętości filistrów, a tego im nie wyperswadujesz ani ty, ani ja, ani nikt!.. bo im dobrze płynie w tym roztopionym łożu.

Podniósł palec do góry i zmrużył oczy, wpatrując się w Romualda, jak gdyby mu powiedział ważną tajemnicę przez siebie dopiero odkrytą.

— Tobie się zdaje, że Słucki pijany nie wie co mówi, a ja ci powiadam, że Słucki po pijanemu lepiej myśli, niż po trzeźwemu, jak cię kocham!..

Romuald nie mógł więcej ukryć podrażnienia, w jakie go wprowadziła rozmowa z podpiłym were dykiem.

— Ale z takimi zasadami, powiedz mi mój kochany, co ty tu robisz? — odezwał się z odcieniem ironii w przymuszonym uśmiechu.

To zapytanie oprzytomniło na chwilę Słuckiego, zdawało mu się, że niezrozumiał dobrze słów przyjaciela, ale ton głosu, w jakim były wypowiedziane, drasnął go głęboko. Zchmurzył czoło, usta wydał, ręce włożył do kieszeni i odparł po chwilowem namyśle:

— Ja?.. ja tu przyszedłem na twoje zaproszenie, przyszedłem dla ciebie, nie dla nich, — jako twój dawny przyjaciel, ale jeśli uważasz, że tutaj niestosowny — mogę wyjść, aby nikogo nie gorszyć moimi zasadami!.. jeżeli cię obraził, to przepraszam, nie wiedziałem, żeś już nabral taże filisterskiej drażliwości.

Romuald zrobił ruch niechętny i odwracając głowę, rzekł:

— Nie zrozumiałeś mnie, mój drogi.

Potem, zobaczywszy żonę w drzwiach z salonu, porzucił przyjaciela ze słowami:

— Przepraszam cię, żona mnie potrzebuje.

Słucki pozostał czas jakiś na miejscu, popatrzył za Romualdem i uśmiechnął się na pół z ironią, na pół z politowaniem, a kiwając głową, powtórzył do siebie kilka razy:

— Oj, chyba zrozumiałem!.. chyba zrozumiałem!..

Sięgnął ręką, by wychylić jeszcze kieliszek wina, ale ją szybko cofnął, jak gdyby sobie przypomniał ostatnie słowa Romualda przed rozstaniem, wziął za kapelusz, leżący na marmurowym kominku przy brązowym świeczniku i spojrzawszy w lustro, przegarnął włosy, pokręcił butnie wąsa, i z głową podniesioną do góry przeszedł pełne salony bankiera powolnym krokiem ku wyjściu na wspaniały przedsiónek, wyłożony dywanem, przybrany kwiatami, jaśniejący od światła gazowych.

Odwrócił się raz jeszcze i zaczął pogwizdując z cicha, schodzić po schodach w cylindrze na głowie, z wyzywającą miną człowieka, który z tych progów wychodzi po raz ostatni.

— Moje futro! — zawołał rozkazując słudze- mu w liberyi, rzucając mu markę do garderoby i rubla, wyjętego z kieszonki od kamizelki, — ostatniego, jakiego miał przy sobie. Lokaj zgiał się we dwoje i z podłym uśmiechem zapytał:

— Czy jasnie pan ma swój powóz?..

Popatrzył na niego z góry i szorstko odmruknął:

— Głupi jesteś!..

Potem dużemi krokami wyszedł z bramy na ulicę.

Długi szereg okien pierwszego piętra jaśniał światłem, pomimo zapuszczonych firanek i rzucił na ulicę odbłaski rzęsistej wewnątrz illuminacji, słuchać było zgłuszony gwar, miarowe tempo nóg ślizgających się po woskowanej posadzce i dźwięki fortepianu; na szybach jak chińskie cienie, migały w dziwnie wykoszlawionych kształtach ruchliwe sylwetki kobiecych i męskich głów.

Bawiono się wybornie, tańczono do upadłego; około trzeciej nad ranem dopiero podano wspaniałą kolację, po której część towarzystwa zaczęła się rozjeżdżać do domów.

O piątej zaledwie za ostatnim gościem zatrzasknięto bramę, służba zaczęła gasić światła na schodach i w salonach, zbierać szkło i naczynia, porządkować z grubsza apartamenta, otwierać lufy dla przewietrzenia atmosfery, przesiąkłej wyziewami gazu, perfum, wina i półmisków z resztkami wspaniałych potraw.

Na dole, w prywatnym saloniku pani Rozalji zebrała się cała rodzina, by wypocząć po tryumfach swej gościnności. Papa Fiszbaum zamienił frak na podbitą atlasem „bonzurkę,” edredynowym puchem watawaną i pozwolił sobie wdziać wygodne perskie pantofle zamiast balowych trzewików, które mu zawsze dopiekały. Pani Rozalia ziewała znużona, zdejmując powoli przepiękne swe klejnoty z rąk, szyi i uszu.

Baronowa z Jerzbieką stały przed dużym *trumeau* i przypatrywały się swoim kostyumom, przybierając rozmaite pozy dla zbadania efektu swych sukien, brylantów i wdziołków; Lacka, nucąc urywki z „Pierścienia rodzinnego,” przechadzała się po saloniku tak lekko, jak gdyby nie przetańczyła całej nocy i miała ochotę rozpocząć cały bal nanowo.

Papa Fiszbaum ziewał, nie zapierając się znużenia.

— Wiecie, ja nóg nie czuję — mówił do barona i Jerzbieckiego, którzy siedzieli na kanapie, oparci o siebie plecami; — takiego zebrania nie było jeszcze u nas!.. co powiesz Roza?..

— Pewnie, że nie było — wtracił Jerzbiecki, przymrużając jedno oko — lekko licząc, salon ojca był dzisiaj wart... ze dwadzieścia milionów pod względem firm, nie uwzględniając kosztowności i fatalaszków kobiecych.

— Co ty gadasz?..!.. dwadzieścia milionów? — przerwał mu teść — sam Grosmacher ma ich ze sześć, a Flaunowie ze cztery, a Halsband i Spółka ze dwa, a Rothbery... ale co ty tak obliczasz, to nie giełda przecież — dodał spostrzegłszy, że zanadto po bankiersku rzecz bierze. — Powiedz lepiej, że nie brakowało nikogo z towarzystwa. Same najpierwsze nazwiska...

Et le beau sexe? — dorzucił baron — kobiety były śliczne, a kostiumy *magnifique!*.. chyba na dworskich balach zobaczyć można coś piękniejszego.

Fiszbaum się uśmiechnął z zadowoleniem:

— Prawda?... wszystkie będą jutro opisane w *Kuryerku*.

— No, no... tylko z gazetami ostrożnie! — zawołał Jerzbiński ostrzegającym tonem.

— Dlaczego?...

— Jakto dlaczego?... dlatego, że nas zerzną za ten bal w pierwszym lepszym dzienniku. Będą krzyczeli gwałt! zbytek, marnotrawstwo!... widział to kto urządzać prywatne bale kostyumowe w tych czasach!... Cóż to, ojciec nie czytał w zeszłym roku, jak urządzili Turcja za kulig?... a welniane wieczorki nie laska? Zaraz nam przypomną, jak to pięćdziesiąt lat temu przy piwie i butersznytach bawiono się do rana i jak nasze babki tańczyły cały karnawał w prunelowych bucikach; słyszysz Magdzia?

Jerzbińska zwróciła się do męża, dotknięta tą przymówką.

— Mój kochany — rzekła mu, brwi ściągając gniewnie — ja twoich bucików nie noszę!

Krulle spojrział na szwagra z boku i uśmiechnął się pod wąsem złośliwie, ale Jerzbiński puścił mimo uszu docinek żony i mówił dalej:

— Cha, cha, wsiada na ojca i sprawią wam wszystkim lanie!... zobaczysz — rzekł zwracając się do barona — dostanie się i wam za te czerwone fraki; to będzie najślusniejsze, bo też Bogiem a prawdą, należałoby się wam frycówka.

Baron spojrział po sobie i poprawił piękną kamizelkę ze złotymi guzikami.

— Nie gniewaj się, ale wygiadaliście wszyscy dzisiaj, jak małpy na katarynkach; — także moda!... albo te zorsy z jednym guzikiem, co to znowu za pomysły!... pokaż tu, masz jeden guzik, czy dwa?...

Krulle z wyższością nieco pogardliwą, słuchał tej krytyki profana, przyzwyczajony do rubasznego tonu szwagra i nie zaszczycał go nawet odpowiedzią.

Uwaga Jerzbińskiego o możliwości „łania” w prasie, zaniepokoiła nieco papę Fiszbaua, wstał z fotelu, podszedł do niego i spytał zniżonym nieco głosem:

— Myślisz na seryo, że co napiszą?...

— Ba!... jeszczeby też nie mieli napisać; taka gratka raz na rok w karnawale się zdarza.

— Wiesz, trzeba będzie posłać jutro ze sto rubli na wpisy, albo na obiady dla biednych, do której redakcyi, to im się usta zamknie — zakładował teść i zaczął znowu ziewać i przeciągać się, aż mu w stawach trzeszczało.

Romuald siedział obok świekry i pomagał jej układać kosztowności w ślicznym puzderku weneckiej roboty; nie mieszał się do rozmowy, jak gdyby jej nie słyszał wcale. Przypatrywał się z zajęciem wspaniałym brylantom i gustownej ich oprawie, od czasu do czasu podnosząc pod światło który z klejnotów, aby wydobyć z niego istną racę blasków i kolorów.

— Prześliczny ogień mają te dyamenty! — mówił do pani Rozalii, która stereotypowo przez grzeczność odzywała się tylko lakonicznie:

— *Oh si! éclatant...*

— Albo tel...

— Ach, tak, — te są prześliczne.

Nie miała ochoty do rozmowy, przymuszała się do niej, znużenie czyniło ją jeszcze apatyczniejszą, niż zwykle.

Ludwika podeszła do męża i usiadłszy na poręczy fotelu, objęła go ramieniami za szyję.

— Czemuś ty nie tańczył dziś ze mną ani razu? — spytała jakby z odcieniem wyrzutu, zbliżając swe karminowe usta do jego ucha. — Cóż ładnie dziś wyglądałam?... *étais — tu content de la petite marquise?*

— *Comme toujours ma chérie*; nie czujesz się znużoną?...

— Wcale nie — zaprzeczyła żywo — dopiero teraz chce mi się tańczyć na seryo. Ah, jak ten Lalewski walcuje!... *charmant*.

Przymknęła oczy i główkę przechyloną oparła na poręczy fotelu, jakby ją odurzało samo wspomnienie walca w objęciu tancerza, który zaszczyt przyniósł dzisiaj przez ciąg całego balu „czerwonym frakiem.”

Przypominały jej się wszystkie komplementy i alluzyje, jakich ze wszech stron nasłuchiwała się od swego męskiego otoczenia, czuła jeszcze na

sobie palące spojrzenia, które ją rumieńcem okrywały i z lekkim dreszczem przytuliła się do swego męża, jak do rzeczywistości, z którą wszystkie bezcielesne illuzyje rywalizować nie mogły.

Zaczęła pocichu szeptać coś z Romualdem i uśmiechać się do niego, spoglądając mu w oczy.

— Wiecie co? — zawołał nagle Jerzbiński — mnie się jeść chce, ja przecież nie jadłem przy kolacyi; musiałem moje miejsce ustąpić Rothbergowej i źle na tem wyrzedłem. Wy nie jesteście głodni?... możebyśmy tak przekąsili kawalek pasztetu, albo kapłona!

— Gdzież teraz?... tak późno — reflektowała go żona.

— Na jedzenie, moja droga, nigdy nie jest późno, kiedy kto głodny.

Krulle spojrział badawczo na świekrę i na żonę.

— Co prawda, ja także czuję apetyt, a panie? Lacka plasnęła w ręce:

— Zróbmy sobie teraz familijną kolacyjkę w gabinecie; mama może pójść spać — dodała zwracając się do matki, która zrobiła minę wystraszonej męczenniczki na propozycję głodnego zięcia — my sobie tu sami poradzimy.

— Ja się z wami napiję kieliszek wina — wtrącił Fiszbau, któremu na wspomnienie kapłona z truflami, ślinka do ust napłynęła, ale przez przezorność higieniczną, nie mógł się odważyć na tak spóźniony traktament.

Całe towarzystwo rozruszało się za przewodem Jerzbińskiego, który pobiegł do kredensu wydać służbie polecenia, a po niejakiem czasie wrócił z kawalkiem pasztetu na widelcu i pełnymi ustami zawołał:

— No, pójďte... wszystko gotowe; Vater z nami!

I wzięwszy żonę wpół, poprowadził ją do stołowego pokoju, gdzie na prędko rozstawiono zimne przekąski na półmiskach i wino w kryształowych amforach.

Trzy małżeńskie stadła z papą Fiszbauem obsiadły stół; rozmowa nabrała ożywienia i humoru.

— Jak Boga kocham, nigdy mi tak w dzień nie smakowało jedzenie, jak dzisiaj — powtarzał Jerzbiński, szturmując raz poraz widelcem półmisek jeden za drugim — Mikołaju, proszę o wino.

Ludwika sama mężowi nałożyła na talerz zimnego mięsa, a baronowa podsunęła mu sosyerkę własną ręką.

Papa Fiszbau siedział nad pustym talerzem i zaspanemi oczyma wodził po stole i po biesiadnikach, ale w twarzy jego malowała się jakaś błogość rozlana, jak gdyby nie na jawie, ale we śnie patrzył na ten obraz familijnego szczęścia i harmonii, która przedewszystkiem objawiała się w wybornym apetycie ukochanych jego dzieci. Zadowolony był do tego stopnia, że swojemi grubymi palcami uszczypnął z lekka w policzek Ludwikę, obok siedzącą, a potem wzięwszy swą szklankę, nachylił się do niej i do Romualda i rzekł po cichu z czułym mrugnięciem oczu:

— Zdrowie Total!...

Córka ucałowała go w rękę, zięć skłonił głowę na podziękowanie i wychylił do dna swój kieliszek.

Jerzbiński, który to spostrzegł z drugiego końca stołu, podniósł się nieco z miejsca i zawołał:

— Bardzo proszę, żadnych konszachtów przy winie; w imię familijnej solidarności, wzywam ojca do porządku. Kiedy jemy razem, to musimy pić razem. Mikołaju, co to ja tam widzę na podłodze... w wanience?... jakieś dwie sierotki się kąpią...

— To białe, proszę jaśnie pana.

Jerzbiński językiem klasnął.

— Słuchajcie, szampan jest w lodzie; możeby tak po kieliszku białego za zdrowie Vatra?... prawda?... dawaj białego!

Krullemu oczy zabłysnęły; widok szampana przypomniał mu inne wesołe kompanijki, klub, gabinety z fortepianem i kolacyjki *en petit comité*.

— Nie zła myśl! — zawołał podochocony — a co to za marka?

Sillery sec i Louis Roederer, Carte blanche —

meldował Mikołaj, nacinając już druty u butelek.

Cieniutkie szklanki zaperliły się po chwili złotawym płynem. Jerzbiński wstał, odchrząknął głośno trzy razy, oparł się o stół i zaczął:

— Panowie!...

— A panie? — upomniał się półgłosem w imieniu galanterii dla dam uśmiechnięty Krulle.

— Prawda; panie i panowie!... (baronie nie przeszkadzaj!) Mamy przed sobą człowieka, który miał tę dobrą myśl zostać ojcem naszych żon, a miał to szczęście zostać teściem takich, jak my, zięciów. (Niech ojciec nie potwierdza, to zbyt cenne). Człowiek ten panowie... panie i panowie! rozwiązał filozoficzną zagadkę życia, panowie. Potrafił z niego wydobyć to, co człowieka czyni zadowolonym i szczęśliwym bez wielkiego zachodu, co mu daje spokój i niezależność, dobry sen i apetyt, dobry humor i... co to jeszcze? (Romku, mógłbyś mi odpowiedzieć, gdy się zatnę!) W chwili tak uroczystej pozwólcie mi panie i panowie, podnieść zasługi tego człowieka, który się naszym czcigodnym Vatrem nazywa i wychylić za jego pomyślność i zdrowie ten kielich jego własnego szampana. Vivat ojciec!

Przemowę parodującą z humorem toasty mówców obiadowych, przyjęto z głośnemi wybuchami śmiechu i dobrego humoru. Fiszbau sam ubawił się wybornie i śmiał się aż mu łzy z oczu spływały.

— Vivat ojciec!... niech żyje papa! — wołano w zgodnym sextecie, trącąc się kieliszkami i ciskając się do starego, który córki całował w czoło, a z zięciami ścisnął się serdecznie, Jerzbińskiego wzięł za ucho z wielkich karesów, mówiąc:

— Ty, ty figlarzu!... do gadania toś ty jedyny. A pamiętaj, żeś mi winien wnuka! — dodał ciszej, grożąc mu palcem.

— W tej chwili w bocznych drzwiach ukazał się, zwabiony śmiechem i głośną rozmową pan Sylweryusz, był jeszcze w stroju muszkietera, włosy miał w lekkim nieładzie, w zaspanem oku szkiełko, widocznie zbudziły go krzyki i hałasy familijnej biesiady.

Ze zdziwieniem rozglądał się po obecnych, jakby sobie nie mógł zdać sprawy ze wszystkiego.

— Co to państwo robicie? — spytał, wchodząc pomiędzy zebranych.

Powitał go okrzyk rochochoconej kompanii:

— A, marszałek, patrzcie! z kąd marszałek się tu wzięł?

— Jakto z kąd? zdrzemnąłem się trochę na sofce u prezesa po kolacyi... nagle zbudziły mnie jakieś głosy, przetarłem oczy — patrzę, w salonach ciemno, ani żywego ducha, wszystko się już rozszło, więc za głosem przyszedłem tutaj. A wy tu sobie, jak widzę, bibkę urządzacie w kółku familijnem: wiecie która to godzina?...

— Co tam godzina!

— Ba, dla młodych, ale nie dla nas; szósta, już czas spać... Co wy pijecie?... białe?... a no to dajcie mi kieliszeczek do poduszki. Czyjeś tu zdrowie pito?...

— To moje marszałku — objaśniał Fiszbau — szkoda żeś nie słyszał mówki tego urwisa.

Stary Lacki, zmrużył oko, przyjrzał się kielisz-kowi i smakując, wysączył co do kropki podanego szampana.

— Za twoje zdrowie prezese kochany, zawsze, choćby zbudzony ze snu, już gotów jestem nawet z całej butelki — rzekł, otwierając ramiona, w które rzucił się papa Fiszbau ze słowami:

— Kochany marszałku!...

Przedstawiciele dwóch rodów, połączonych z sobą w małżeństwie ich potomków, ściskali się z taką serdecznością, jak gdyby wieki całe tęsknili do siebie.

Jerzbiński rękawem ocierając suche oczy, skrzywił się komicznie i rzekł do barona z przesadą:

— Czuła scena!...

Żona dała mu klapsa po ramieniu, mówiąc:

— Idź ty cyniku.

Ludwika rzuciła się na szyję Romualdowi i całując go, zawołała:

— I my także.

— To i my także—wrzasnął Jerzbiński, obejmując żonę, a za jego przykładem poszedł nawet rozgrzany w atmosferze rodzinnej Krulle.

I ścisano się ze śmiechem na wsze strony.

— No, moje dzieci, czas się rozejść,—na seryo już późno,—odezwał się papa Fiszbaum — świtać zacznie lada chwila.

— Do jutra papo!—Dobranoc albo dzień dobry raczej.

— Do jutra.

Pan Sylweryusz podał rękę Fiszbaumowi;

— Winszuję ci prezesie dzisiejszego balu—powinny o nim kroniki pisać. Ale, ale... jutro pokażę wam nową grę, której się nauczyłem, nazywa się wint; cudowna rzecz!... zbierzmy się na partyjkę u kogo.

— To u nas—uprzedził żonę Romuald—będziemy czekać wieczorem.

— W tym samym komplecie — dorzuciła Ludwika.

— Doskonale, à demain alors.

— A demain.

Papa Fiszbaum oboje Lackich ucałował w głowę przy pożegnaniu i rzekł do Romualda:

— Byłem dziś bardzo kontent z ciebie, mój Muldziu.

Ludwika męża wzięła pod ramię i pociągnęła za sobą ku wyjściu. Szedł za nią, tłumiąc ziewanie, ciężki był i znużony, myślał tylko o wygodnym łóżku, w którym się położy i zaśnie, gdy mu sen i pocałunki żony zamkną powieki.

Kiedy wsiadali do powozu, o pętlice jego futra zaczęła się jej bransoletka; szarpnęła mimowoli ręką i jakiś przedmiot spadł z dźwiękiem na kamienne flizy podjazdu.

Lokaj schylił się i podniósł gwiazdkę brylantową, która się oderwała od złotego łańcuszka. Romuald wziął ją do rąk i najspokojniej oddał żonie....

Nie przypominała mu ona w tej chwili nic i nikogo w sennej głowie i sennem sercu spało już także wspomnienie o kobiecie, która taką samą kiedyś bransoletkę nosiła.

Usypiało w nim już wszystko, niestety!...

Wenecja—Warszawa—Kraków 1857.

K O N I E C.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 5 Grudnia 1887 r.

Manifestacje uliczne, tak zwane „journées” przypominające ciężkie chwile w epoce wojny 1870 r. — Geneza dzisiejszego przewrotu. — Obrachunek Grévy'ego. — Posłanie do Izby i dymissja. — Jakże mogą być jej następstwa? — Fiziognomia Paryża d. 1 i 2 Grudnia. — Wybór nowego prezydenta. — P. Carnot, jego horoskop. — Literatura: „Kłamstwa”, nowa powieść Pawła Bourgeta. Główne zarysy. — Definicja literackiej dążności we Francji. — W czym się myli, a w czym ma słuszną angielski korespondent „Bluszczy”. Nowa książka *Mon bon Gaston*, przez panią de Pitray. — Kilka słów o autorce i o jej książce. — Kto był ów „dobry Gaston?”

(Dokończenie).

Jako intermedyum zabawne potrzeba zacytować ukazanie się na placu de la Concorde słynnej Ludwika Michel. Jak tylko ją poznano, zaczęto gwizdać, krzyżeć i łajać, tak, że przestraszona, musiała się uciec pod protekcją policji, która ją uciesiła i grzecznie wsadziła do powozu i kazała odwieźć do domu. Drugą dywersją sprawiło ukazanie się na moście trzech deputowanych paryżkich — ale nie Paryżanów: Basly'ego, Duc Quercy'ego i Camélinat'a. Na przodzie szedł Basly, mając szarą deputacką,

przewieszoną przez plecy, i zapowiadał głośno, że idzie do ratusza. Wielka część zebranych gapiów przylączyła się do ich orszaku i pociągnęła ku ratuszowi przez ulicę de Rivoli. Orszak ten, pomnożony ochotnikami, spotkanymi po drodze, natknął się wkrótce na szwadron gwardji, która, przepuściwszy deputatów, resztę rozpędziła bez wielkiej trudności. Rejterująca gromadka zebrała się znowu poniżej, i rozpędzona powtórnie, ostatnią bitwę stoczyła na koniec na placu przed ratuszem, poczem „każde poszło w swoją stronę.” Deputacja wpuszczona do Sali Radnej, przyniosła wezwanie, aby się udać *in gremio* do Izby Deputowanych, i żądać wykluczenia Ferry'ego z listy kandydatów do prezydentury. Pomimo protestacji rozumniejszych ławników, biuro rady miejskiej, z prezesem na czele, udało się do Izby Deputowanych, gdzie dano odpowiedź odmowną, gdyż tego rodzaju propozycja nie była ani legalną, ani usprawiedliwioną pod żadnym względem.

Tak się skończył dzień pierwszy. Otrzymałszy nakoniec dymissję Grévy'ego, Izba znalazła się w ambarassie: kogo tu wybrać na miejsce opróżnione w tak niesłychany sposób? Wielcy ludzie, na których zwrócono oczy, nagle tak zmaleli, iż ogromna niepewność zawładnęła umysłami tych wszystkich, którzy z taką gwałtownością domagali się dymissji Grévy'ego — niewiedząc, kim go zastąpić. Czterech główniejszych kandydatów, byli następujący: Ferry, Freycinet, Floquet i Sadi Carnot. Ferry miał i ma przeciwko sobie cały zastęp Radykalnych — którzy zagrażają nawet porwaniem się do broni w razie jego wyboru; ale jego współzawodnictwo szkodziło Freycinetowi, Floquet zaś był zanadto radykalnym. Ostatecznie w drodze kompromissu wybrano Sadi-Carnot'a, osobistość ze wszystkich najmniej wybitną.

P. Carnot wybrany został d. 3 Grudnia przez obie Izby prawodawcze, złączone w jedno Zgromadzenie Narodowe, potocznie zwane „kongresem.” Obecnych było 842 senatorów i deputowanych, 827 głosowało, 804 oddało głosy ważne, i p. Carnot, przy powtórnej wotowaniu, — bo pierwsze zostało bez skutku — otrzymał 616 głosów! Jest to ciekawy wypadek, bo kandydatura ta nie była przewidywaną, i wybór dowodzi, w tej chwili przynajmniej — pewnego uspokojenia w parlamencie i na ulicy. Dzień upłynął spokojnie, bo, jak mówiłem, — widocznie, dane było wstrzymać interwencją klasy robotniczej.

P. Carnot jest inżynierem — „des Ponts et Chaussées;” ma lat 50, szczupły, średniego wzrostu, twarzy przyjemnej, ale z wyrazem zimnej i jakby wymuszonej powagi, małowimny, ale uprzejmy, a stanowczy; ożeniony z panną Dupont-White, ma syna, porucznika piechoty, i córkę zamężną; ma więc i on zięcia — jest nim p. Cumisset, adwokat generalny przy trybunale w Dijon; ma wreszcie żyjącego jeszcze ojca, senatora. Cała rodzina jest katolicką i spełnia praktyki religijne.

Na tem zakończę moje sprawozdanie z pierwszego aktu wielkiego i ważnego dramatu. Powiadam, że to jest koniec pierwszego aktu, bo Naród Francuzki nigdy się nie zatrzymuje długo na miejscu, i każda rzecz, dobrą czy złą, musi wyczerpać do dna. Sposób i łatwość, z jakimi wysadzono z powozu (*le Char de l'état*) pana Grévy'ego — jest jakby wskazówką na przyszłość. Bodajbym był złym prorokiem; ale bądźcie pewni, że tego tu nie zaśpią, i że następne zmiany prezydentów — pod jakim bądź pozorem — nastąpią w krótkich bardzo przerwach po sobie. Niestety! taka to jest ułomność ludzkiej natury, że zawsze musi zawracać ku złemu, chociażby to kosztować miało wiele największych i najstraszniejszych ofiar! Dziś, jutro dzienniki rozmaitych odcieni, rozpoczną walkę.

Ale czas już zamknąć te słuzy polityczne, a pośpieszyć na pole literatury. Spodziewam się, że czytelnicy moi zechcą mi przebaczyć tym razem tak długą wycieczkę na pole polityki. Wśród takiej zawieruchy, w jakiej tu żyjemy od miesiąca i więcej, trudno jest spokojnie i uważnie zaj-

mować się sprawami literackimi, z należytą równowagą umysłu. Daremnie sili się człowiek usunąć się daleko na stronę, od tej wrzawy, od tego zgiełku, czuje się w samym kipiaku, wśród ludzi, z których każdy jedno tylko ma na myśli i w sercu, co się stanie jutro? Zresztą literatura i teatr, jak to wszystko, co stanowi całość myśli i życia, narodu, musi koniecznie odczuwać te wstrząśnienia i na tym chwiejnym gruncie wulkanu, wraz z ogółem tańczyć sarabandę.

Prócz Zoli jest tu drugi koryfusz, tej powieściopisarskiej powodzi, znany już wam zapewne, bo u nas można nie znać swoich pisarzy, ale byłoby wstydem i hańbą nie znać, choćby wczoraj, wyklutego z jajka Francuza. Jest nim więc p. Bourget. Rozpoczął on swój zawód powieściopisarski od tak zwanej „Strasznej, czy okrutnej zagadki”, (*Une cruelle énigme*), o której mówiłem obszernie w swym czasie, dziś, nowa książka nosi tytuł: „Kłamstwa” *Mensonges*. Paweł Bourget, jest to ostatni z powieściopisarzy wziętych i poczytnych tutaj, zdolny stylistą, biegły i zręczny — i cały utopiony w nowym prądzie, który unosi społeczność tutejszą, który ją rozpiera. Prąd ten w nauce i psychologii zowie się „Newrozą”, a w pospolitym użyciu i języku, to brudna rozpusta!

Wasz korespondent jest prawdziwie w wielkim kłopotcie: przemilczeć o tej książce, nie wolno, bo jest ona w rękach wszystkich paryżanów. Jest to nowość sensacyjna nawet z powodu mody i z powodu talentu młodego pisarza. Rozbierać ją? jest to chcieć tarzać się w błocie.

Znać już ową definicję paryżką małżeństwa we troje. Stara to gra już teraz — i p. Bourget, znalazł małżeństwo we czworo, Zuzanna de Moraines — cud piękności, postać odurzającej czystości, ideał wdzięku i niewinności z pozoru, kocha męża, bo to pocziwe człowieczysko; kocha bankiera Desforhes'a, bo ten daje na utrzymanie zbyt wiele jej domu, kocha na koniec literata poetę, bo René Vincy, jest młody, piękny i inteligentny. Cała rzecz opiera się na tej zasadzie, w której się krzyżują kłamstwa, dla utrzymania równowagi i porządku, w owej grze we czworo. Szczegółom gry poświęcona jest większa część książki, resztę miejsca zajmują domowe pocziwe stosunki rodzinne René'go, stanowiące zupełną sprzeczność z tamtem piekłem, w którym króluje czarodziejska grzesznica. Naturalnie, że raz jeden, ta kłamliwa zasłona rozdiera się gwałtownie, następuje zerwanie tragiczne, zerwanie, przy którym omal nie przychodzi do kijów, Zuzanna patrzy z zadziwieniem na René'go, jakby na człowieka dzikiego, nie mogącego zrozumieć tak prostej rzeczy, jak jej miłość dla niego — czwartego w tej partyi...

A teraz, bardzo tu dobrze wystudowane, doowiedzione nawet według zwyczaju dzisiejszego, jak oni powiadają dokumentnie; ale do czego to prowadzi. Jest zapewne wielu takich zapowietrzonych na bruku paryżkim, tych p. Bourget ani poprawi, ani nawróci. Ale znajdują się i tacy, dla których to posłuży, jeśli nie za naukę, to za wymówkę przynajmniej. Pisarze francuzcy nie mogą wyjść z tego błędnego koła, gdzie straszliwe tradycje sodomy występują, przyodziane w szaty najnowszego paryżkiego kroju. Dlaczego? wszak nie braknie im talentów, owszem talent mają do rozdania; są artystami pióra, rzadkiej doskonałości, postrzegaczami z niesłychaną wprawą i darem patrzenia w społeczne objawy. Są niejako jubilerami psychicznych efektów cudnej doskonałości, zkad więc ten upór w poszukiwaniu przedmiotów do powieści, w najbrudniejszych rynsztokach; kiedy tuż pod ręką mają całą ogromną rzekę najczystszej i najzdrowszej wody. Zkad? oto ztąd, że przy tych wszystkich zaletach, które im dano, albo które otrzymali od matki natury, braknie im wielkiej podstawy: moralnego ukształcenia, powiadam ukształcenia, a nie wychowania; bo te odbierają lepiej może nawet, niż gdziekolwiek na świecie, w młodziutkich latach, w rodzinnym zaciszu; ale tego niedosyć, jak nam nigdy niedosyć nauki odebranej w szkole. Jedno i drugie potrzebuje ukształcenia, ostatecznego wykończenia, wtenczas kiedy

wchodząc w życie, stykając się ze światem, zaczynamy stosować zasady i naukę do życia. Owóż wtem zetknięciu się młodzieży ze społeczeństwem w Paryżu i w całej Francji, panuje zupełny brak moralnego wykształcenia. Łatwość i ponęta, przyjemność i używanie świata, zakażają właśnie źródło powieściopisarstwa. Wszelka moralność jest wykluczona absolutnie. I tu jest Geneza tego, co tak boleśnie nderza w belletrystyce naszego czasu we Francji.

Mój kolega korespondent *Bluszczu* w Anglii, w ostatecznym swym liście, umieszczonym w N. 47, mówiąc o różnicy, jaka zachodzi pomiędzy powieściopisarstwem w Anglii i we Francji, powiada: „że Angielki są wogóle dobrymi gospodyniami i matkami rodzin, dużo w tem znaczą ćwiczenia siły, w naturalny porządek ich życia wprowadzone... Angielka nie może być nigdy taką elegantką, taką kokieterijną, płochego lekkomyślnego życia kobietą, jakiej typ przedstawia Francuzka klas zamożnych, która dała światu damę salonową najłżejszych obyczajów i stworzyła odpowiednią temu literaturę, w której się podobizna jej odbiła.“

Postrzeżenie jest trafne, ale, aby zupełnie było sprawiedliwem, potrzeba tu wprowadzić pewne zastrzeżenia. To, co autor powiada o kobietach klas zamożnych we Francji, potrzeba przestawić i zastosować właśnie do tej klasy pośredniej, nowej w społeczności francuskiej, która jest dziś łącznikiem pomiędzy światem prawdziwym, tłómacząc o wyrażeniem technicznym, uświęconem we Francji i pół światem—klasy zmieszanej w pewien rodzaj salaty, gdzie się spotyka kobiety, które bez wstydu najmniejszego, przechwalają się swymi adoratorami, klasa ta składa się z trzech części: uprzywilejowanych zalotnic, artystek, głównie aktorek; i nakoniec z zupełnie wykołajonych, co nazywają Francuzi: *les déclassées*, to jest wyemancypowane wdowy, opuszczone mężatki, parweniuszki (z pokojówek, kucharek, córek odźwiernych i t. d.). Te *declassées* uczęszczają z wielbicielami swymi na obiady, do teatrów wystawiać się bezczelnie na kompromitację, a bardzo rzadko tylko wychodzą za nich za mąż.

Oto jest ta klasa, która nie istnieje wcale w Anglii, a przynajmniej, nie jest tak ukonstytuowaną, jak tutaj, w ciało prawodawcze rozmaitej młodzieży, a szczególnie poczynających artystów i literatów, dla których świat wyższy—i świat czysto mieszczański zamożny, jest radykalnie zamknięty. Tymczasem ten światek podejrzanego natury, małpuje, dość zręcznie, ów świat prawdziwy, do którego chciałby się wciśnąć, ale który mu nigdy, przenigdy, swych drzwi nie otworzy, jest dla młodzieży tą szkołą, gdzie swe ostatnie niestety wykształcenie odbiera.

Ale i o tem dosyć, waruję sobie tylko, nim przejdę do nowej, a lepszej książki, że kobiety, lekkich obyczajów, tutaj we Francji, równie, jak w Anglii, wśród klas zamożnych, czy to arystokracji, czy mieszczaństwa (*Bourgeoisie*), są rzeczą wyjątkową. A teraz do nowej książki.

Mon bon Gaston—taki jest skromny i prosty tytuł tej niezmiernie interesującej książki, o której chciałbym kilka słów powiedzieć. Autorem jest kobieta, pani de Pitray, a najprzód kto jest pani de Pitray? Jest to córka znanej bardzo autorki, tu i na świecie, tylu pięknych, dobrych, i pocziwych książek pisanych dla dzieci, pani de Ségur.

Mon bon Gaston—są to pamiętniki o przykładnem życiu i niezmiernie budującej śmierci, brata autorki, Gastona de Ségur, prałata Dworu Papieżkiego, jednego z najświatlejszych kapłanów we Francji.

Monseigneur de Ségur miał to straszliwe nieszczęście, iż nagła utrata wzroku w młodym wieku, bo nie miał wówczas więcej nad lat trzydzieści, złała cały jego zawód, był już bowiem w owym czasie udytorem Roty, Cameriere Segreto Papieża—i ulubieńcem Piusa IX. Ta utrata wzroku, skazując go na życie bezczynne, nie odebrała mu wszakże, ani spokoju, ani poddania się woli bożej wobec tak straszliwej klęski i nie-

złamała ani wiary, ani energii, do wytrwania na drodze obowiązku i miłości bliźniego. Wówczas wrócił do Francji, osiadł w Paryżu i w towarzystwie swego kapelana, poświęcił siebie i swoje znaczne dochody na dzieła dobroczynności. Sieroty, kaleki, wszyscy cierpiący znali doskonale tego ociemniałego prałata, który, prowadzony przez swego towarzysza, szedł do najbiedniejszych przytułków, nieść pomoc duchową i zasiłek niezbędny. Prywatna kaplica, urządzona w mieszkaniu Ségura, przepełniona była codziennie ludźmi wszelkich klas i stanów, przychodzących spowiadać się i komunikować z rąk tego świętego człowieka.

Cale to życie, od małego chłopięcia aż do ostatnich godzin śmierci umierającego, wśród strasznych cierpień spokojnie—*impavidus!*—opowiedziała siostra, a zarazem jego chrzestna córka i uczennica, pani de Pitray, z tą prostotą, z tym wdziękiem; które tylko pióro szczerze i głęboko uczuciowej kobiety, może znaleźć i wypowiedzieć bez pretensji stylu, układu i wykładu. Są to kartki, w opowiadaniu szczególnie anegdotycznym, na których autorka znajduje formę tak artystyczną, tak wytworną w swej prostocie, jakiej mógłby jej pozazdrościć, najwytrawniejszy pisarz z zawodu. Żałuję, że nie mogę, dla braku miejsca, dać tu czytelnikom moim, pewnych ustępów z tej książki—X. de Ségur, był nadto uczniem Pawła Délaroche'a i doskonałym malarzem. Wszystko to stanowi czarującą całość. Radzę, proszę czytać tę książkę, bo tak piękną i zacną niełatwo spotkać. Ja osobiście jestem nią zachwycony.

Zostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o teatrze. W ciągu ubiegłego miesiąca, przedstawiono tu ułemało nowości, a wśród tych mniejszych prób i próbek, szczególnie przychylnie przyjęcie w prassie, a następnie u publiczności, znalazły trzy sztuki: *L'abbé Constantin*, przerobiona z powieści p. Claretie, znanej wam dobrze nawet tłómaczenia polskiego—*La Souris*, (Myszka) komedya w 3-ach aktach Pailleron'a—i *Tosca*, dramat w 5-ciu aktach V. Sardou'a. Niestety! polityka nadto wiele mu zjadła papieru i niema już teraz miejsca, abym powiedział czytelnikom moim o tych trzech sztukach, zostawiam to do przyszłego listu, co mi da możność, winszując wam Nowego Roku, wypisać się dowoli.

IRLANDCZYK U SIEBIE.

Opis kraju i mieszkań irlandzkich. — Opłakany stan Irlandyi i nędza tam panująca. — Historia cierpień Ludu Irlandzkiego.

(Dokończenie).

W ciągu trzynastu lat, od r. 1156 do 1149, udało się Anglikom zająć wschodnią część wyspy; lecz dalej bohatersko-dziki lud irlandzki nie dopuścił nieprzyjaciela, broniąc się mężnie i uporczywie. Dopiero po upływie kilku wieków, w którym-to czasie Anglicy strasznie uciskali i gnębili nieszczęśliwy ten naród, prześladowając go bezustanku, znęcając się nad nim i pozbawiając go wolności, swobody religijnej, ziemi i mienia, dokonało się zupełne rozbicie Narodu Irlandzkiego i społeczeństwa celtyckiego; prawa i porządki angielskie zapanowały ¹⁾.

Stopniowo zamożni właściciele spadli na stopień prostych dzierżawców (*farmer*). Dzierżawcy zniewoleni byli najmować ziemię u angielskich landlordów, którzy ich niemiłosiernie wyzyskiwali i krzywdzili. Farmer musiał za najmniejszy ka-

walek własnej ziemi ojczystej, którą sam w polu czoła uprawiał, bardzo drogo płacić. Zdzierstwa i bezprawia silniejszych przeciw słabszym zalały biedny Naród Irlandzki. Siedmiowiekowy nakóg gwałtu i ucisku zbyt głęboko się zaszczepił w umyśle chłodnego, sztywnego Anglika, aby się łatwo dał wykorzystać.

Prócz tego, właściciele znacznych dóbr niechętnie przebywali i przebywają w swoich posiadłościach. Większość przyjeżdża tylko nakrótko w lecie, wielu jest takich, którzy nie mają nawet pojęcia, jak ich majątki wyglądają. Ciągając jak najwięcej zyski, trwonią je i marnują za granicami: oto ich powołanie. Systemat podobny musiał uwiecznić nędzę Irlandczyków. Lordowie angielscy bez wyrzutów sumienia, z całą flegmą, na jaką się zdobyć potrafia, zabierali majątek ruchomy irlandzki, wywożąc go za granicę; a rządy takie nie przyczyniły się bynajmniej do postępu ekonomicznego i rozszerzenia cywilizacji w kraju.

Systematyczna nieobecność właściciela w kraju, nietylko że go odrywa od zwykłych zajęć, jakie nań powołanie obywatela składa, nietylko, że go pozbawia możności zbliżenia się do ludu, lecz paraliżuje wszelkie dobre jego popędy: choćby je posiadał zdaleka, pozostaje zawsze obcym w swojej. Wreszcie popełnia niedarowany błąd, pozbawia bowiem lud swój zajęcia i zarobku.

Lordowie Angielscy postępowali jeszcze gorzej. Wypuszczali oni w dzierżawę majątności swoje, oddając je w ręce rozmaitych spekulantów i kolonistów, którzy ze swej strony znów od najmowali ziemię Irlandczykom, starając się przytem jak najwięcej zarobić. Odzierali i krzywdzili ubogich farmerów, wyzyskiwali ich niemiłosiernie; prawie co miesiąc podwyższali im cenę najmu, a jeśli który nie był w stanie płacić więcej, odbierali mu bez ceremonii i bez wszelkiej poprzedniej umowy, kilkanaście akrów ziemi, żądając, naturalnie tejsamej zapłatę, co i przedtem, choć kawał ziemi znacznie był uszczuplony. Powtarzało się to kilka razy na rok i doszło nareszcie do tego, że biedak płacił za dzierżawioną kawałek ziemi 40 szylingów. Łatwo sobie wystawić, jakie to można było ciągnąć zyski z podobnej dzierżawy! Nic więc dziwnego, że gospodarstwo i rolnictwo stopniowo chyliły się do upadku, lud coraz bardziej ubożał, tracąc siłę i energią do pracy, a spekulanci z bogacali się cudzym kosztem i krwawą pracą uciskanego ludu.

Lecz nie dość na tem. Koloniści angielscy, panujący wszechwładnie w Irlandyi i pastwiący się bezkarnie nad jej mieszkańcami, usiłovali wyrwać z rąk krajowcom wszelkie inne gałęzie pracy, by je zagarnąć dla siebie.

W tym celu uorganizowali różne korporacje municypalne i cechy, do których Irlandczycy nie mieli wstępu; tym sposobem stopniowo usunięci zostali od handlu i przemysłu. Jedno tylko zajęcie nie znalazło opozycji ze strony Anglików, ani nie doznało konkurencji — a mianowicie: zajęcie najemnika lub wyrobnika dziennego, które zostawiono w rękach nieszczęśliwych ofiar.

Prześladowania i okrucieństwa powtarzały się peryodycznie przez lat prawie 300 od Henryka VIII do Billu Emancypacji w r. 1829. Jętrzyły się serca męczenników i popychały ich do częstych zaburzeń i buntów, kończąc się zwykle zwycięstwem Anglików i nader obfitym dla nich łupem. Starano się szybko poskromić zuchwałych burzycieli spokoju publicznego; przelewano całe potoki krwi irlandzkiej, i co najważniejsza, zabierano majątki bezlitośnie.

Do wszystkich prześladowań przyłączyły się najsroższe, bo prześladowania za wiarę katolicką. Gdy Anglicy zmienili religię katolicką na protestancką, żądali, aby Irlandczycy uczynili to samo, chociaż Anglikami nie kierował bynajmniej zapał religijny, lecz interes czysto polityczny. Naród fanatycznie przywiązany do swego wyznania odmówił wręcz wrogom swoim, nie chcąc przyjąć protestantyzmu. Wówczas Anglicy, nie przebiegając w środkach, wydali drakońskie prawodawstwo, które po wiek-wieków zostanie w historii na hańbę ludzkości. Naród odważnie, wa-

1) Rys historyczny przeszłości irlandzkiej, aż do ostatnich czasów znajduje się w „Bluszczu“ z r. 1881. Tam odsyłamy czytelnika.

lecznie opierał się swoim siepaczom, zachowując swoją odrębność i w obyczajach. Henryk VIII (1509—1547 r.), król Angielski, gorliwy protestant, oddał cały kościół katolicki irlandzki duchowieństwu anglikańskiemu. Jednocześnie zniósł klasztory, a majątki i dobra poklasztorne zabrał na skarb, lub rozdawał dworzanom. Wydał prawo karcące srogo i bezlitośnie tych, którzyby choć powierzchownie nie wyznawali religii anglikańskiej, opierających się zaś temu barbarzyństwu, w wielu wypadkach przez prawo przewidzianych śmiercią karać nakazywał.

Królowa Elżbieta, przy końcu swego panowania, to jest na początku XVII w. dokonała zupełnego podbicia Irlandyi. A chociaż kraj był już bardzo zniszczony i zgnębiony, naród złamany i osłabiony, to dzięki charakter jego wzmościł się jeszcze i spotęgował wskutek ciągłych walk, utarczek i gwałtów obustronnych. „Królowa dziewica”—jak ją pochlebcy nikczemni nazywali, zaostrzyła jeszcze, pogłębiła niegodziwą politykę swego ojca.

Dziesiątki tysięcy katolików skazała na wygnanie, wypędzając ich sromotnie z Irlandyi i zapelniając kraj angielskimi protestantami. Skoniskowane ziemie i dobra rozdała swoim ulubieńcom, z warunkiem wszakże, aby nigdy żadna noga irlandzka nie powstała w ich włościach.

Irlandczycy musieli szukać przytułku w dzikich kniejach, w lasach i górach. Znalazłszy schronienie, zajmowali się polowaniem, ale częściej i więcej grabieżą i mordem. Liczba grabieżców i morderców z każdym dniem powiększała się i wzrastała a jednocześnie śmiertelna nienawiść ku wrogom i wzmagala się do szalonej, nieokiełznanej dzikości. Mścili się też okrutnie na nieprzyjacielu, starając się udęczać postrachem i grozą kolonistów angielskich.

Następcy Elżbiety—Jakób i Karol I—postępowali śladem swoich poprzedników. Systemat podobnych rządów wiele ujemnie działało na moralną stronę katolików. Ograabić nieprzyjaciela, spalić jego mienie, okraść go, nawet zabić, zamordować bezbronnego, poczytywano za czyn nader bohaterski, heroiczny. W lasach i górach mnożyły się gromady ludzi mściwych, niepokojące Anglików. Napady i pożary zdarzały się prawie codziennie, a czyny te okrutne, choć po niekąd usprawiedliwione przez powagi europejskie późniejsze, bywały tak zręcznie spełniane, iż nigdy i nigdzie nie można było odnaleźć winowajcy.

Czasy Cromwella, którego imię podziś dzień powtarzane jest przez Irlandczyków z przekleństwem i wstrętem, były chyba najcięższymi dla kraju. Pustoszył on i niszczył wyspę ogniem i mieczem; torturował z niebywałą srogością mieszkańców; wreszcie około 20,000 ludu irlandzkiego sprzedał do Ameryki.

Jednak pomimo tego wszystkiego, pomimo najokrutniejszych udęczeń, najsroższego ucisku, pomimo najwyższych, niewymownych cierpień, jakie przejść musiała Irlandya, naród jej, jakkolwiek znękany i złamany fizycznie i moralnie, bronił się dzielnie, czerpiąc siły, i odwagę w cierpieniu; a potężnym bodźcem, rozogniającym Irlandczyków i pchającym ich do coraz śmielszych walk, do najzuchwalszych bojów, była wielka, straszna nienawiść do Anglików.

Zawsze gorący i gorliwi obrońcy kościoła katolickiego, pozostali dotychczas wiernymi jego wyznawcami. Nie pomogły katusze i stopy, nie podziałały najróżnorodniejsze prześladowania: Irlandczycy z niewzruszonym uporem znosili wszystko, nie ustępując wszakże nieprzyjacielowi.

Potworne prawa nie dopuszczały katolika do żadnych urzędów; nie wolno było mu wstępować w związki małżeńskie z osobą innego wyznania; nawet osoba duchowna, dająca ślub parze mieszanej, ulegała nader surowej karze, gdy przekroczyła prawo.

Katolikowi nie wolno było dziedziczyć po krewnym protestancie, ani posyłać dzieci na naukę za granicę. Nie wolno mu było nabywać posiadłości ziemskich. Mógł tylko dzierżawić ziemię u protestanta, i tona czas określony.

Nawet handel i przemysł uległy ścieśnieniu. Zabroniony był wszelki wywóz bydła i innych produktów z Irlandyi. Okręt towarowy według praw angielskich, wtedy tylko mógł stanąć u brzegów Irlandyi, gdy przedtem kilka dni przebył w jakimś porcie angielskim. Tak samo działo się z okrętami irlandzkimi, wyprawianymi do Ameryki.

Gdy się przekonano, że fabryki płócien i wełny zaczynają rozwijać się w Irlandyi, a nawet i kwitnąć, położono rozwojowi natychmiast tamę, nie pozwalając wywozu towarów. Wilhelm III, Król Angielski, nie powstydził się wystąpić w parlamencie z mową, że uczyni wszystko, co w jego będzie mocy, aby zabić w Irlandyi wszelki ruch i wzrost fabryczny. Trudno, zaiste, wyliczyć wszystkie prawa, przynoszące hańbę Anglii i kładące wieczną plamę na ich charakterze. Dorosły one aż do naszych czasów do liczby ośmdziesięciu sześciu, a pewien uczony francuzki powiada, że prawa one stanowiły najzręczniejsze i najsilniejsze narzędzie ucisku i barbarzyństwa, jakie kiedykolwiek przewrotny geniusz człowieka wymyślić był zdolny.

Systemat rządów angielskich, i silny despotyzm doprowadził Naród Irlandzki do moralnego upadku, oraz do nieuchronnych w takim razie występów. Wzbudzony i zbuntowany duch nieszczęśliwych szukał sposobów zemsty nad wrogiem, śmiertelnej, nieubłaganej zemsty.

Po uśmierzeniu powstania z r. 1797,8 dokonało się całkowite połączenie Irlandyi z Anglią. Za panowania IV, lord Canning, znakomity mąż stanu i jeden z przewodzców stronnictwa liberalnego, postarał się przynieść pewne ulgi udęczonemu ludowi. Głównym przewodzcą party irlandzkiej w parlamencie, był wymowny pdwo kat O'Connell, bożyszcz narodu i gorący jego obrońca.

W roku 1829 nastąpiła tak zwana „Emancypacja katolików“, maza której katolikom otwarto został wstęp do parlamentu.

Dzisiaj już nie mają Irlandczycy nad sobą politycznego ucisku, ale jak dawniej, tak i teraz panują w Irlandyi: głód, ostatnia nędza, obok ekonomicznego ucisku, który przez siedm wieków prawie się nie zmniejszył, niezatarte po sobie zostawiające ślady w kraju.

Ubranie Irlandczyka stanowią najgorsze łachmany; za mieszkanie służy mu brudna, nędzna lepianka bez pieca, bez komina i bez okna. Pijaństwo i przestępowanie tam w parze, bez wyrzutów sumienia. Jak dawniej, tak i teraz tworzą się tam różne potajemne stowarzyszenia i spiski, członkowie których od czasu do czasu spełniają niesłychane, bezprzykładne okrucieństwa i mordy. Spiski podobne, nie tylko że istnieją w samej Irlandyi, lecz także w Anglii i Ameryce. Nienawiść Irlandczyków w obecnej chwili ku wrogom swoim chyba jeszcze wzrosła. Trudno zresztą powiedzieć, kiedy była właściwie większą: czy wówczas, gdy Irlandczycy dręczeni byli sromotną, poniżającą niewolą; czy też teraz, gdy mając już wolność i wszelkie niby prawa, są wszyscy zebrakami?

Naród, który takie przechodził koleje, tyle cierpiał i takie zniósł udęczenia, a pomimo tego został wierny swoim tradycjom i przekonaniom swej istoty się nie pozbył—zasłużył sobie na życie dziejowe we własnym swem państwie.

Helena Rozenband.

Kronika działalności kobiecej.

— Bezimienna filantropka przesłała p. Juszczykowi, zarządzającemu zakładem osieroconych chłopców imienia Jachowicza, 1,500 rs., przeznacząc je na założenie kolonii letniej dla wychowanców zakładu, gdzieby mogli przepędzać czas wakacji letnich na świeżem powietrzu, ucząc się zarazem, jeżeli zakład uzna to za rzecz pożyteczną, ogrodnictwa, pszczolnictwa i jedwabnictwa. Zaczyn opiekun zakładu oddawna pragnął dla wychowanców swoich takiej kolonii, z powodu, że wiele sierot jest słabowitych, i skrofulicznych, a przeto, aby pewna ich liczba uczyła się mogła pracy rolnej, oraz ogrodnictwa i pszczolnictwa, a to ze względu, że pomieszczenie ich w terminach dla nauki rzemiosł, jest często trudnem dla braku miejsca. Nadesłana summa nie wystarczy przecież na wzniesienie takiej kolonii i tylko dobroczynność publiczna dopomóż do tego może. Początek dało tu miłosierdzie kobiety, może też przykład znajdzie naśladowczynie.

— Trzy szwalnie dla ubogich dziewcząt, zostające pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, wykazały taki stan rocznych swych postępów. Szwalnie te są właściwie szkołami nauki szycia, głównie ręcznego, jakkolwiek uczą tam także szycia maszynowego i innych gałęzi potrzebnych robót kobiecych. W szwalni przy ulicy Freta, w gmachu po-Dominikańskim, uczyło się w ciągu ubiegłego roku 183 dziewcząt, którym wydano 21,107 obiadów bezpłatnych, opiekunkami zakładu były p.p. Marya Józefowiczowa i Alexandra Kopczyńska, opiekunem hr. Wiktor Ronikier. Szwalnia utrzymuje się z ofiar opiekunów, oraz z dochodu, który przynoszą prace uczennic. Druga szwalnia, mieszcząca się przy ulicy Wspólnej, miewała przeciętno po 29 uczennic dziennie; otrzymywały one raz na dzień pożywienie; za które zamożniejsze płaciły po 5 gr. dziennie. Zakładem kieruje p. Ludwika Benni, opiekunkami są pp. Natalia Liedke, Helena Kuczalska, Br. Kuczyńska, Marya Szczucka, Józefa Szebeko, Walerya Warnke i hr. Wiktor Ronikier. Trzecia szwalnia wzniesiona kosztem p. Róży Kronenberg 28 Września 1886 r., miewała 36 uczennic dziennie. Opiekunką wyłączną jest założycielka i dodany przez Towarzystwo Dobroczynności opiekun.

— Znana Warszawie z miłosierdzia i zacnych uczynków pani Laura z Lutoborskich Węclewiczowa, zmarła d. 6 Grudnia w Rzymie, w klasztorze Karmelitanek. Mieszkanka gub. wołyńsk., po stracie męża, który był marszałkiem szlachty tamtejszej, oraz pięciorga dzieci, przybyła do Warszawy i zamieszkała wśród ubogiej i pracującej ludności Powiśla, w małym dworku na Solcu, żyła jak najskromniej, rozdając znaczne swe mienie, bo 15,000 rs. rocznego dochodu, na wsparcie biednych i wspomaganie pracujących. Było to życie święte i otrzymała też od wdzięcznego jej ludu, wśród którego wyłącznie przebywała, nazwę „dobrej hrabiny“. Powódź w 1884 r., i ratunek, który niosła dotkniętym tą klęską, dały poznać światu jej wysokie cnoty, jej ofiarnicze, już tylko miłości bliźniego poświęcone życie. Oddalenie nie zerwało węzła z rodzinnym krajem. Wyjechawszy do Włoch w 1885 roku, przesyłała z tamtąd liczne wsparcia dla ubogiej ludności warszawskiej i w testamentie jej znajduje się imienna lista 130 rodzin, którym przeznaczyła, jako wsparcie jednorazowe, od 100 do 200 rs. Resztę: przeszło 150,000 rs., przeznaczyła na różne dzieła miłosierdzia. Jednym wśród egzekutorów jej testamentu, jest kapłan warszawski, którego testamtu wspomagały ją niegdyś w dobroczynnych jej uczynkach.

— Zabawy dzieci w Towarzystwie Wioślarskiem wykazały pewien dobry kierunek myśli wychowawczej pań warszawskich. Na ćwiczenia gimnastyczne, które się tam odbywają pod kierunkiem nauczyciela gimnastyki, Majewskiego, przybywają liczne zastępy dzieci, którym towarzyszą matki. Ale po skończeniu gimnastyki i, uprzedzając tańce, które rozpoczynają się następnie, znaczna ich część wychodzi, zabierając dzieci, bo nie pragną dla nich tego sztucznego rozbawiania, szczepienia im gustu do bałów jakich i tak miewalismy zawsze zawiele. Dla ćwiczeń siły, dla gimnastyki, tak ze względu na potrzebne tu przybory, jak i współzawodnictwo, które ożywia i ochoty dodaje, zebrania dzieci publiczne mogą

być pożyteczne, ale dalej już nie—ani tańców, ani towarzyskich gier i zabaw żadnych, bo to wszystko można mieć w domu, w kółkach rodzinnych i to tylko czasami, kiedyniekiedy, naprzykład w święta, lub jakieś uroczystości rodzinne, w imieniny, w dni pamiątkowe. Panie Warszawskie rozumnie czynią, usuwając dzieci od tego nowego wynalazku zabaw publicznych.

— W Paryżu umarła niezmiernie bogata i jak rzadko uczciwa kobieta, właścicielka ogromnego składu towarów, przy ulicy du Bac, M-me Boucicaut, zostawiając blisko sto milionów franków majątku, zapracowanego najuczciwiej. Skład ten, a raczej olbrzymi aglomerat najróżnorodniejszych składów, noszący nazwę: „Au bon Marché”, wychodzi czterema frontami na cztery pierwszorzędne ulice Paryża, tworząc trudną do opisaną całość. Obsługa obejmowała od trzech do pięciu tysięcy osób, kobiet i mężczyzn, którzy byli zawsze przez właścicieli, małżonków Boucicaut, dobrze płatni, dobrze traktowani, otaczani iście rodzicielską opieką, dbałością o ich los, ich potrzeby, przyjemności nawet i godziwą zabawę.

Mąż umarł kilka lat temu, zostawiając żonie fortunę już obliczoną na sześćdziesiąt milionów franków, a która tak jak wszystko, z czego powstała, była wspólnem ich dziełem. Subjekt w zwyczajnym sklepie towarów łokciowych, ożenił się z panną sklepową w tymże zakładzie, gdzie poprzednio przebywali razem przez lat dziesięć, aż po śmierci właścicieli, kupiwszy go do wspólki z zebranych oszczędności i pobrawszy się, zaczęli pracować tam na własną rękę. Z jakim szczęściem? wiemy. Gdy mąż umarł, żona, której wszystko zostawił, nie tylko potrafiła zakład utrzymać, ale prowadziła go wzorowo, z tą samą sprężystością w interessach, z tą samą ich znajomością, a co więcej, z tem samem poczuciem się do obowiązku opieki nad tymi, których pracą wzrastało i utrzymywało się ich mienie.

Tylko kobieta zaczęła się okazywać jeszcze więcej dobroczynna, jeszcze tkliwszą na niedolę ludzką. Pismo nasze kilkakrotnie donosiło o jej ogromnych darach na rzecz instytucji filantropijnych i wsparcie wszelkiego rodzaju nędz ludzkich, lecz testament jej, rozporządzający niesłychaną fortuną, najlepiej maluje uczciwą, szlachetnem uczuciem sprawiedliwości przejętą duszę:

Własność sklepu „Au bon Marché”, wraz z jego gmachami mieszkalnemi, wartości 60 milionów, przechodzi na własność 1,300 osób należących do składu zarządu sklepowego, a które pod kierunkiem pierwszego urzędnika zakładu tworzą towarzystwo udziałowe.

Każda z osób, która przebyła w zakładzie od jednego dnia do lat trzech, otrzymuje 1,000 franków. Każda z osób, która przebyła tam od lat 3 do 5, otrzymuje 3,000 franków. Po 5,000 franków, otrzymują ci, którzy pracowali tam od lat 5—10. Wszyscy inni po 10,000 fr.

Tych innych jest 1,185 osób.

Dziesięć milionów zostało zapisaniem urzędowi miejskiemu dobroczynności: „Assistance publique” na wzniesienie szpitala; 210,100 fran. do rozdania natychmiastowego. Kassa wsparcia starości pracujących w zakładzie „Au bon Marché” ma otrzymać milion; dwie podobne kassy ubogich w miejscu urodzenia testatorki i jej męża po 100,000 fran.; dwie inne kassy ubogich po 50,000 fr. Przytułek ubogich chłopców pod nazwą S-go Mikołaja milion; dwa zakłady pracy kobiecej po milionie; dziesięć instytucji poświęconych literaturze, sztukom i nauce po 100,000 fr., co razem wynosi również milion. Pasteur'owi, który otrzymał już 150,000 fran., jeszcze 10,000; na wzniesienie trzech przytułków dla starców, ko-

biet i mężczyzn, w okolicach: Lille, Rouen i Chalons, 2,645,000 fr. Na wsparcie ubogich Paryża otrzymują Arcybiskup 3,00,000, wielki rabin 100,000; przełożeni kościołów protestanckich: augsburskiego i reformowanego po 50,000 franków!

Zapisy te wynoszą przeszło 80 milionów; dalej idą zapisy dla znajomych i krewnych, reszta zaś, co poza tem pozostanie, ma być oddana zarządowi miejskiemu dobroczynności na rzecz szpitali paryzkich. Te dwie pozycje wynoszą około 12 milionów.

Charakterystycznym rysem tego testamentu jest zastrzeżenie, wyrażone przez testatorkę, aby otwarcie go i przeczytanie, mające się odbyć wobecności wszystkich osób, wchodzących w skład zarządu i obsługi zakładu, odbyło się w pierwszą niedzielę po jej pogrzebie o godzinie 10-ej zrana. Zapracowawszy sama tyle, testatorka nie chciała, aby ci, co pracują jeszcze, tracili jeden dzień roboczy...

Dodać tu trzeba, że jedyny mniej więcej moralny i uczciwie napisany romans Zoli, którego bohaterka jest i pozostaje do końca kobietą niesplamioną brudem życia, rozwija się na tle stosunków zakładu „Au Bon Marche.” Ułatwiano tu drogę cnoty i autor chciał to pokazać, a drugostronnie sam może został do tyła owiany atmosferą uczciwego życia, że nie mógł tworzyć brudu i brzydoty.

— Akademia Francuzka, przyznająca dorocznie nagrody za najszlachetniejsze i najpożyteczniejsze dla społeczeństwa dzieła literackie, oraz nagrody cnoty z legatu Montyona, obdarowała dwie kobiety. Nagrodę literacką wśród ogólnej liczby 42 osób nagrodzonych, otrzymała Janina Dieulafoy za książkę, opisującą podróż jej po

Azyi i badanie ruin persopolitańskich, dzielone z mężem. Pani ta otrzymała już poprzednio Krzyż Legii Honorowej w nagrodę jej osobistych trudów i starańłożonych przy rozkopywaniu tychże ruin. Nagrodę cnoty, drugą, przyznano Maryi Doreau Lallande, wdowie, która uczyniła sobie zadaniem życia pielegnowanie ubogich chorych.

W Genewie zaczęło wychodzić nowe czasopismo „Przegląd postępów moralności”, liczący pomiędzy stałymi współpracownikami trzy kobiety: Karolinę de Borreau, dyrektorkę francuzkiego stowarzyszenia opieki nad wychodzącymi z więzienia, Emilię de Morsier i filantropkę angielską: Józefę Batter.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

ZBIOROWE WYDANIE PISM GABRYELLI

(Narcyzy Żmichowskiej)

w 5-ciu tomach.

Największym talentem kobiecym w literaturze naszej jest bez zaprzeczenia Żmichowska. Przed czterdziestu laty zaliysła od razu, jak świetny Meteor, w Pogance — i odtąd już czytano wszystko, co z pod pióra jej przez dwadzieścia lat wychodziło. Słusznie nazwano Żmichowską dopełnieniem trójcy wielkich poetów naszych: była ona jednym z tych światel niebieskich, które się naokoło wielkiej pejady ugrupowały, aby blask jej zwiększyć.

Zbiorowe wydanie znakomitej autorki zawiera w sobie zbiór różnych poezyj, powieści: *Prządki*, *Maina i Kościół*, *Danko z Jawuru*, *Capriccio*, *Wstępny Obrazek*, *Poganek*, *Książkę Powiastek*, *Białą różę*, *Czy to powieść*, *Kasię i Marynkę*; *List nie wiem czyj i do kogo*, *Adeodala*, *Kwestyę podzędną*, *Wstęp do Pism Hofmanowej*. — Artykuły o wychowaniu.

Zbiorowe wydanie pism Gabryelli składa się z 5-ciu tomów.

Cena całego dzieła wynosi rs. 5. — Nabywać też można kolejno tomami:

w Warszawie po rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 10.

TREŚĆ: Rok ubiegły, przez M. Ilnicką — Filistry, powieść, (dokończenie), — przez M. Gawalewicz. — List z Rzymu. — Nowiny paryżskie, (dokończenie). — Irlandczyk u siebie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — 45 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozytę stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 16 Декабря 1887 года.

Kapturek dla dziewczynki od 1 do 3 lat szydeł. robotą.

Rycina Nr 1. Krój pierw. str. tab. Nr VI, fig. 24 i 25.

Kapturek wykonany grubym szydełkiem i kremową gobelinową włóczką, obsyty w koło dwoma rzędami ząbków, przód zaś zdobiony 1 rzędem ząbków, oraz garnirowanie ślimakowato ułożone, wykonane tunezańskim ścięciem i dwie małe kokardki z wstążki kremowej, która służy do wiązania. Główkę wykonać podług fig. 24, karczek podług fig. 25, zaczynając na założeniu ze stosownej ilości o. tam i napowrót. Kolej 1: 3 pow. ocz., z 2 i 1 z tychże po 1 o. z 2 najbliższych o. założenia przybrać; wszystkie ocz. będące na szydełku razem przerobić, * 1 ocz. wziąć z żyłki, która się utworzyła z przerobienia tamtych ocz., 1 ocz. w tylną żyłkę z przybranego ocz. z 1 ocz. założenia, 1 ocz. z tegoż o. i 2 ocz. z następnych 2 ocz. założenia, ocz. wszystkie przerobić i połączyć, od * powtórzyć; Każdą następną kolej wykonać tak samo, tylko ocz. które się przybiera, należy brać zamiast z ocz. założenia z przedniej żyłki, o. poprzedniej kolei, oraz zwracać należy uwagę na krój kapturka i stosownie do tego przybrać i gubić oczka. Połączyć pojedyncze części kapturka, i ułożyć w fałdy. Na garnirowanie zacząć od założenia stosownej ilości o., w 1 kolei 1 rzędu naprzemian przybierać 1 ocz. z sąsiedniego ocz. i nawinąć nitkę na szydełko; tunezańskim ścięciem a w 2 kolei tego rzędu pojedynczo przerabiać, każde oczko i każdą nawiniętą na szy-



Nr 2. Toczeczek dla paniąki od 10 do 12 lat.

Nr 1. Kapturek dla dziewczynki od 1 do 3 lat szydełkową robotą. Krój pierw. str. tab. Nr VI, fig. 24 i 25.
Nr 4. Czapeczka dla dzieci robotą sz. dełkową

Nr 3. Kapelusik dla dziewczynki od 3 do 5 lat. Opis odwr. str. tab.

dełku nitkę. Kolej 1 rzędu 2: 1 ocz. przybrać z żyłki poprzedniej, będącej z lewej strony strony i nawinąć nitkę na szydełko, 2 zaś kolej tego rzędu, jest taka, jak 2 kolej 1 rzędu. 3 rzęd. W 1 kolei 3 rzędu przybierać 1 ocz. z poprzedniej żyłki oczka będącego z lewej strony, a w 2, to jest w powrotnej kolei przerabiać ocz. jak poprzednio. Następnie wykonać 1 kolej pół-słup. w ocz. założenia, połączyć z kapturkiem i przyrównować karby falbany podług ryciny; poczem otoczyć cały kapturek brzegiem ząbków, zaś w przednim brzegu należy ten brzeżek połączyć ze słupkami garnirowania. 1 kolej: * 1 ścis. ocz. w najbliższe brzeżne ocz., 1 pow. o., 2 ocz. opuścić, 6 sł. po każdym z nich 1 pow. ocz. w następne ocz., 1 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, od * powtórzyć 2. kolej: * 1 ścis. ocz. w pow. o. następujące po najbliższych słup., 3 pow. ocz. od * powtórzyć, w końcu 1 ścis. ocz. w 1 ścis. ocz. tej kolei. W 2 rzędzie luków, wyłożyć 1 rzęd i wykonać w wolnych o. brzeżnych 1 kolej: * 4 sł. z których środkowe podzielone są 3 pow. ocz., 2 sł. w 3 rzędu o. brzeżne, od * powtórzyć. 2 * 6 słup., po każdym z nich 1 pow. oczko, w środkowe z 3 pow. ocz., będących pomiędzy 4 słup. 1 pow. ocz., 1 ści. o., w żyłkę będącą pomiędzy najbliższymi 2 sł. od * powtórzyć. Kolej 3 jak 2 kolej poprzedniego rzędu luków.

Toczeczek dla paniąki od 10 do 12 lat.

Rycina Nr 2.

Toczeczek z pasowego welnianego materiału, ułożony na petynetowej foremce.



Nr 5. Suknia z atlasu „duchesse” i pluszu.

Nr 6. Suknia z popeliny i kaszmiru. Przód. (Do ryc. 23 w Bl. Nr 51).

Nr 7. Suknia wieczorowa.

Rondko otoczone dwoma pasami materiału wełnianego wycinanego w ząbki, tak, żeby dolne zęby przechodziły górne na pół cent. szeroko. Pokrycie główki stanowi kwadrat 62 cent. wielki, wycinany w ząbki, ułożony w fałdy zwrócone ku górze. Rozeta z materiału wycinanego w ząbki, zdobi przód toczka podług ryciny.

Suknia z atlasu „duchesse“ i pluszu.

Rycina Nr 5.

Na zwyczajnej spódnicy z kamlotu lub materyi przyszyty na przodzie plusz koloru ciemno-pasowego, w górze na 15 cent. szeroko, w dole zaś na 40 cent. Tiunika z tegoż samego koloru atlasu „duchesse“, upięta podług ryciny, pokrywa w zupełności spódnicę; zebrana w fałdy na przodzie i po bokach, z tyłu upięta bufiasto, kilkoma ścięgami przymocowana na przodzie do pluszu. Stanik krótki spiczasto zakończony, ozdobiony pluszem podług ryciny i jedwabnym sutaszem w kolorze sukni.

Suknia z popeliny i kaszmiru.

Rycina Nr 6.

Spódnica z niebieskiej jedwabnej materyi, na 216 c. szeroka, otoczona w dolnym brzegu falbaną z tegoż materiału i pokryta falbaną w fałdy ułożoną, 400 c. objętości, w pasy niebieskie i saumon. Tiunika z niebieskiego kaszmiru, z jednego boku mocno w fałdy zebrane, tworzy wydatny róg na dole.



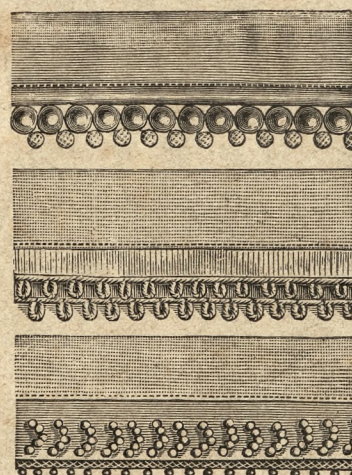
Nr 26. Stanik z materyi wełnianej. Opis odwr. str. tabl.

Chusteczki do nosa i obszycia do sukien.

Rycina Nr 10—19.

Rycina 11 i 16 przedstawia chusteczki batystowe, 29 c. w kwadrat, objęta na około podwójnie złożonym fularzem 4 c. szeroko, w pasową i niebieską kratę, lub w pasy dowolnego koloru, zastosowane do tychże obszycia do sukien, przedstawia ryc. 10 i 17.

Rycina Nr 12 do 14, i 17 do 19 przedstawiają rozmaite oszycia do sukien, przyozdobione perłkami, pikotami lub gażą układaną w fałdki, podług wskazania ryciny.



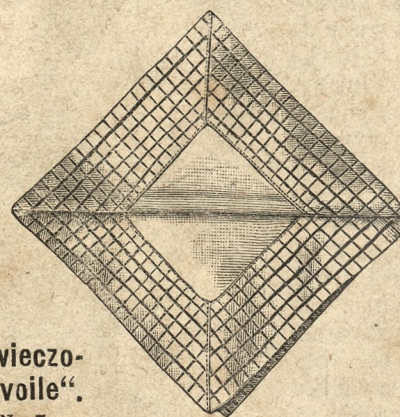
Nr 12 do 14. Obszycia do sukien.

Suknia wieczorowa z „voile“.

Rycina Nr 7.

Spódnica z niebieskiego bawełnianego atlasu, 225 c. objętości, pokryta tegoż koloru falbaną z voile haftowaną, ułożoną, podług ryciny, i ubrana kokardami. Tiunikę upiąć podług ryciny. Staniczek gładki z bawetem, ozdobiony haftem i fałdowanym napierśnikiem. Rękawy bufiaste z kokardami w wstążki.

Nr 11. Chusteczka do nosa.



Nr 10. Obszycie do sukni.

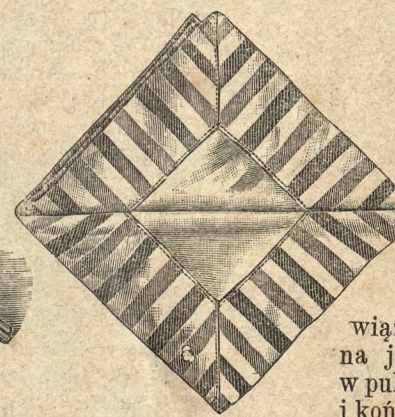
Nr 8. Znak haftowany



Nr 9. Znak haftowany.



Nr 10. Obszycie do sukni.



Nr 16. Chusteczka do nosa.

Nr 20. Postument na koszyk do roboty hafowanej. (Do r. 21). Krój i desen odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 69—71



Nr 21. Ząb do koszyka ryc. 20 1/2, wielkości naturalnej.

Dwa kołnierzyki z żabotem z wstążki i koronki.

Rycina Nr 24 i 25.

Rycina 24. Wstążka koloru kremowego, 42 c. długa, a 3 cent. szeroka, pokryta koronką układaną w pliski. Trzy rozetki ze wstążki pół cent. szerokiej, umieszczone w stosownej odległości na 6 paskach ze wstążki, podług ryciny. Pod dolną rozetką ułożony rodzaj wachlarza z koronki na 20 c. szeroki, a 53 cent. długi.

Rycina 25. Wstążka z pikotami 5 cent. szeroka, pokryta falbaną koronkową plisowaną, do której w dolnej części przyszyty rodzaj kołnierzyka koronkowego. Wachlarz z koronki w dolnej części i pukle ze wstążki koloru poziomkowego, uzupełniają całość podług ryciny.

Wachlarze balowe.

Rycina Nr 28 i 29.

Wachlarze w tym rodzaju przybierają się stosownie do koloru sukni.

Wachlarz ryciny 28 przedstawia liść palmowy, pokryty materyą jedwabną złotawego koloru, ułożoną w fałdy. Otoczony do koła girlandą z liści akksamitnych i atlasowych, a ozdobionych gałązką jagód i liści złotych roboty filigranowej. Wstążki koloru złotawego, 2 1/2 cent. szerokie, uzupełniają ozdobę wachlarza.

Wachlarz ryc. 29 przedstawia liść palmowy, pokryty białą materyą i tiulem tegoż koloru, ozdobiony gałązką bzu w kolorze lila i piórem tegoż koloru, oraz białem. Rączka przewiązana w górze wstążką z pikotami, 2 1/2 cent. szeroką, w dole zaś



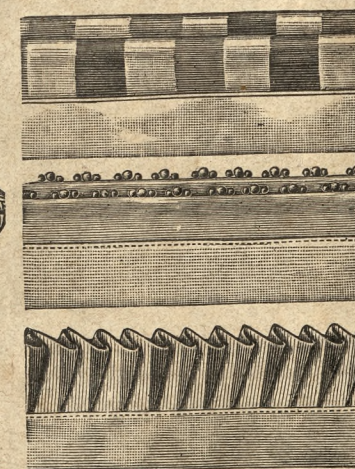
Nr 25. Kołnierzyk z żabotem z koronki i wstążki.

wiązana jest w pukle i końce, mocowania u paska.

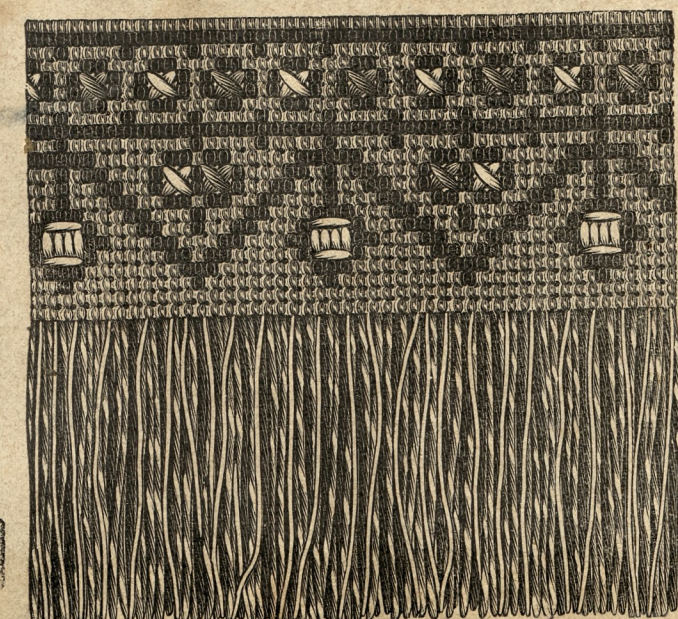
Kapturek ułożony z koronkowej chustki.

Rycina Nr 30j

Kapturek ułożony z czarnej koronkowej chusteczki i ogarniowany tak z przodu, jak w górze na głowę, koronką ułożoną w fałdy w kierunku ku dołowi.



Nr 17—19. Obszycia do sukien.



Nr 23. Szlak do ozdoby koszyków i t. p.

Nr 27. Stanik z materyi jedwabnej w pasy i sukna. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 14—16.

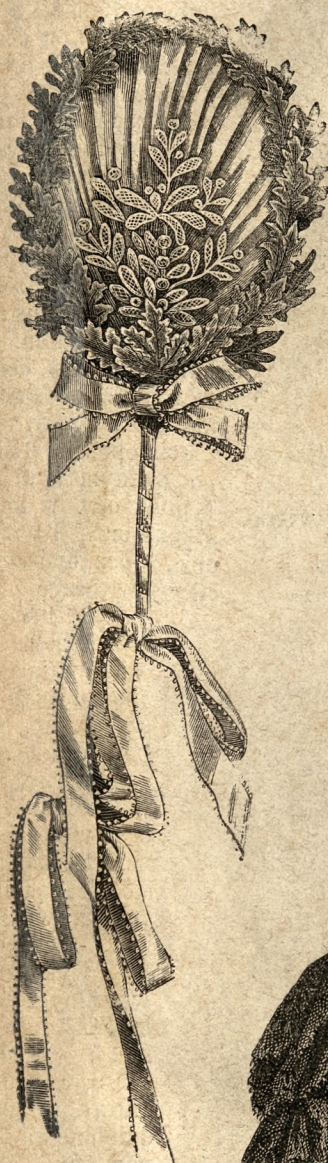
Woreczek zwany „Pompadour“.

Rycina Nr 38. Desen pier str. tabl. Nr VIII, fig. 38.

Ukroić z brązowego atlasu część 32 cent. wysoką, a 46 cent. szeroką, złożyć na połowę szerokości, połączyć materyą, zostawiając w górnej części rozporek 7 c. długi, a takż sam rozporek wykonać z drugiej strony. Zaopatrzyć podszewką obranego koloru. Poniżej rozporków wszyć elastykę i o-



Nr 31. Kapturek dla starszych pań. Krój i opis pier. str. tab. Nr V, fig. 22 i 23.



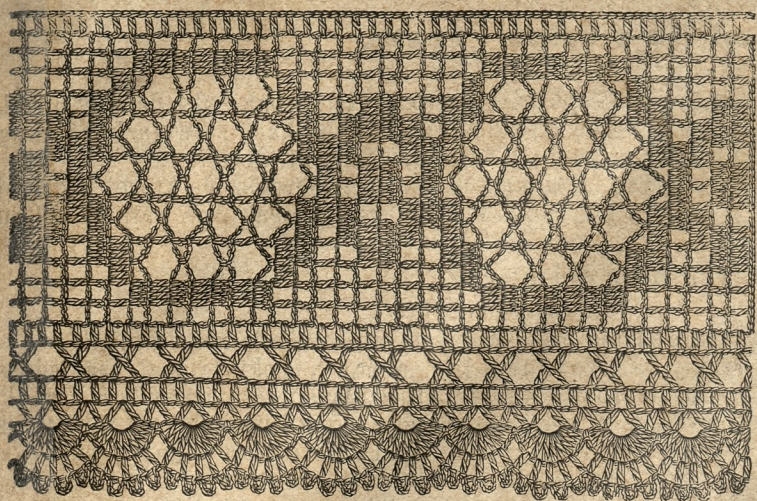
Nr 28. Wachlarz balowy.



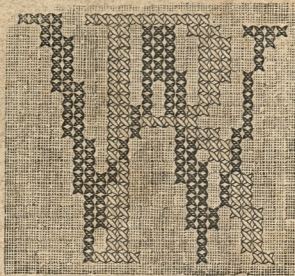
Nr 30. Kapturek ułożony z koronkowej chustki.



Nr 22. Część przepaski do firanek. (Do ryc. 39). Wielkość naturalna.



Nr 33 Koronka robota szydełkowa.



nr 32. Znak haftowany.



Nr 34. Koronka robota szydełkowa.

zdobić wstążką 2½ c. szeroką, a 42 cent. długą. Haft wykonać podług fig. 38 na jedwabnym ottomanie, złotym sznurkiem i niemi, oraz różnokolorową filozelą, ścięciem: atlasowym, łańcuszkowym, dziergany, rybiej łuszczyki i pocztowym. Po wykończeniu haftu wyciąć puste miejsca; woreczek ozdobić podług ryciny.

Przepaska do firanek.

Rycina Nr 39 i 22.

Przepaska haftowana na białej, okuta w mosiądz i z takimiż kółkami, przez które przeciągnięty podwójnie sznur wełniany, 43 cent. długi, rycina 22 przedstawia część szlaku naturalnej wielkości. Środkowe figury wykonać naprzemiennie, rozpolowaną filozelą, kolorami ceglastym i oliwkowym, ścięciem atlasowym; ozdobić ścięciem długim, takąż filozelą, a otoczyć karbowaną przedzą. Małe figury wykonać jedwabiem pawiego koloru i otoczyć złotym sznurkiem. Po wykończeniu haftu zaopatrzyć przepaskę podszewką z atlasu koloru palonej cegły i otoczyć sznurkiem z brązowej sznury i złotej nitki jak wskazuje rycina.



Nr 36. Znak haftowany.



Nr 35. Koszyzek do kluczyków haftowany.



Nr 37. Znak haftowany.

ne, ostre, a notabene smaczne. Nowy rodzaj tartinek jest na chlebie. Wziąć chleb wiejski (dostać go można: Chmielna Nr 15), lub węgierski, nie skrawając skórki, tylko kromkę smarować jak szeroki, całe piastry, a po ukrojeniu cieniułko nakładać jak zwykle lososiem, śledziem pocztowym, płasko, podłużnie krajany, żółtkami przecieranymi przez białko — białko oddzielnie trzeba przesiekać, bo białko nie da się przetrzeć, serem, serdelami, rzodkiewkami, kawiozem, pasztetem i t. p. Tak nałożony plaster chleba krajać w poprzek, na szerokość dwóch do trzech cali, okrawając skórę, przez co formują się długie tartinki, wygodne do trzymania w ręku i ładną mozaikę tworzące.

Doświadczenie gospodarskie.

Mięso gotowane używając na pierożki, włożyć w gorącą wodę osloną i postawić na gorącej blasze, żeby się odświeżyło; można razem włożyć cebulę, która się odparzy i użyć ją następnie razem z mięsem do pierogów.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa grochowa.
2. Pekelisz z chrzanem.
3. Brukselka.
4. Sarna z sałatą z jarzyn.
5. Suflet z jabłek.

Tańlica krojów dołączoną była na 51.

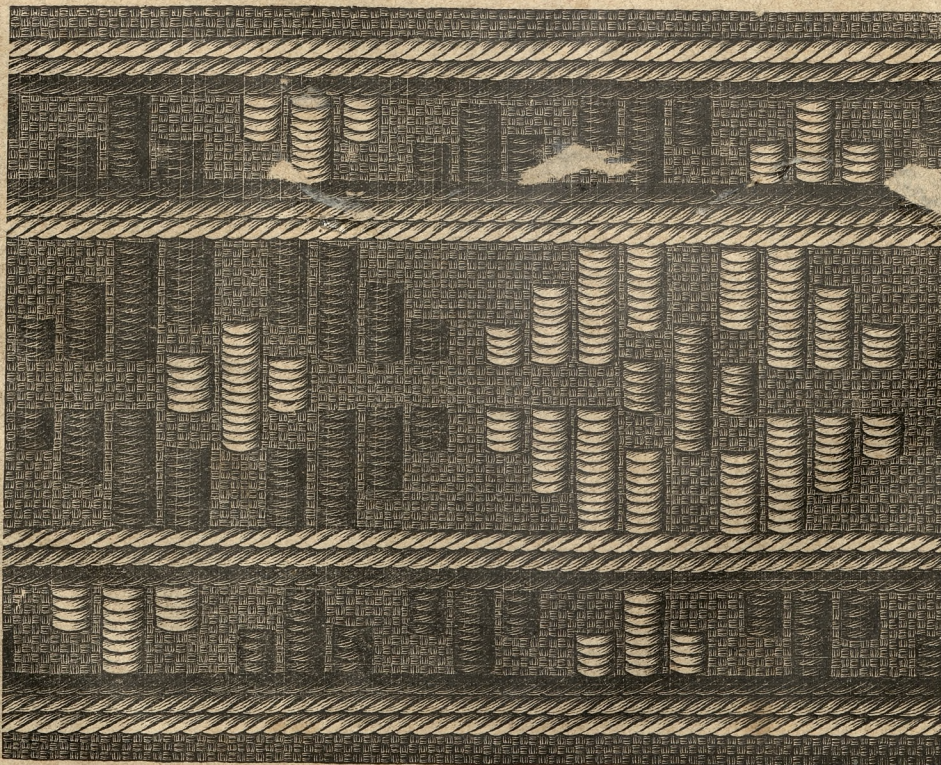
Przepisy gospodarskie

Tartinki z chleba

Czego bo też na tartinki kłaść nie można, wszystko co tylko sło-



Nr 44. Znak haftowany



Nr 43 Część szlaku do ryc. 42. Wielkość naturalna.

Nr 41. Sukienka dla pani (od 12 do 14 lat. (Do ryc. 39 w Blu. Nr 51).

Nr 42. Krzesło bujające. (Do ryc. 43, oraz ryc. 15 w Blu. Nr 51).

Nr 40. Sekienka dla dziewczynki od 6 do 8 lat. (Do ryc. 29 w Bl. Nr 51)

Nr 38 Woreczek haftowany. Deseń pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 36

Nr 39. Przepaska do firanek. (Do ryc. 22).